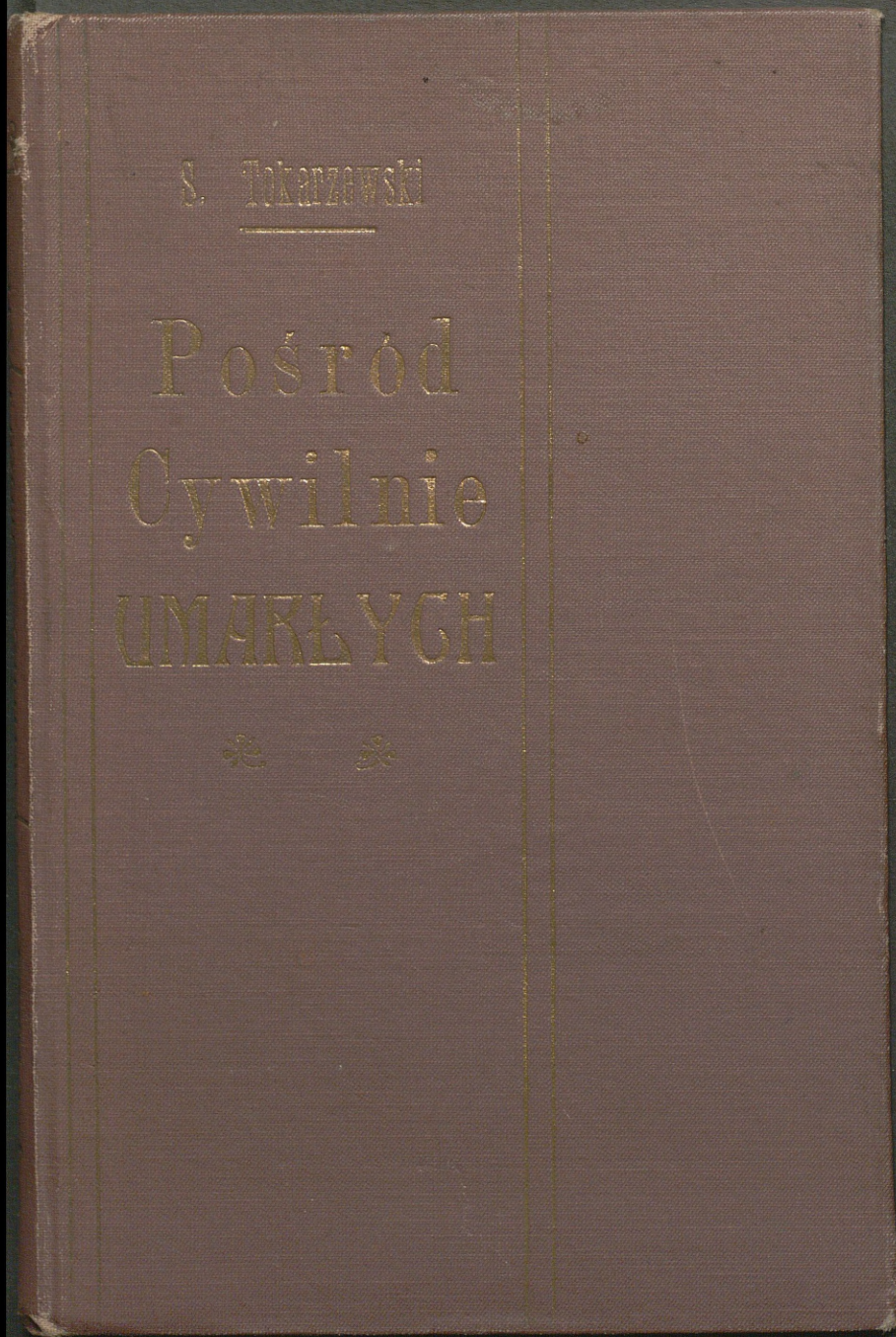


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



S. Tokarzewski

Pośród
Cywilnie
UMARŁYCH



Biblioteka Dzieł Wyborowych

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

Warunki prenumeraty.

W WARSZAWIE:	Z PRZES. POCZT.:
Rocznie (52 tomy) rb. 10	Rocznie (52 tomy) rb. 12,60
Półrocz. (26 tom.) „ 5	Półrocz. (26 tom.) „ 6,30
Kwartal. (13 tom.) „ 2 k. 50	Kwartal. (13 tom.) „ 3,15

Za odnośnienie do domu 15 kop. kwart.

Geną 55 kop.

W prenum. 30¹/₂ kop.

Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . . . rb. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . . rb. 3 kop. —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . . rb. 1 kop. 50
Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.



REDAKTOR: **ZDZISŁAW DĘBICKI.**

WYDAWCA: **KAZIMIERA GADOMSKA.**

FILIA W ŁODZI:

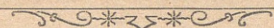
Księgarnia Stanisława Olczaka, Mikołajewska 20.

Reprezentacya na MIŃSK gub.

Stefan Siemiątkowski. Zacharzewska № 80.

DRUK. EDWARD NICZ i S-ka, NOWY-SWIAT 70. Tel. 27-73.

Szymon Tokarzewski.



Pośród cywilnie umarłych

Obrazki z życia Polaków na Syberyi.



POŚRÓD CYWILNIE UMARŁYCH.

Szymon Tokarzewski.

POŚRÓD CYWILNIE UMARŁYCH

Obrazki z życia Polaków na Syberyi.

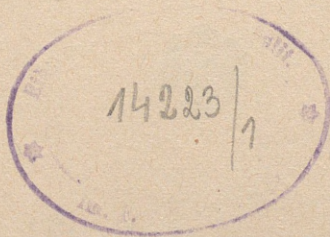


WARSZAWA

Druk. Ed. Nicz i S-ka, Nowy-Świat 70.

Telefon Nr 27-73.

884-3



NA IRTYSZU.

Switało...

Na błękitno szarem tle firmamentu, z poza lek-
kich obłoczków opalowego koloru tu i owdzie uka-
zywały się jakgdyby świeżo rozkwitłe, blado różo-
we kwiaty.

Z delikatnych, przejrzystych obsłonek mgieł
przedświtowych zaczynał na ziemię wyzierać pogo-
dny, letni, gorący dzień, różowiac wody Irtyszu, a na
bezkresną panoramę kirgiskich stepów, ciągnących
się po drugiej stronie wspaniałej rzeki, rzucając świe-
tliste smugi, które zwiastowały, że już wnet ukaże
się słońce. Jakoż niebawem rozbłysło szczodrobliwie
i promienne...

Wraz, powiał wietrzyk ożyweczy... jakieś rado-
sne szmery przeciągnęły ponad nurtami Irtyszu, po-
nad stepem, ponad dalekim aulem koczowników,
ponad tabunem pasących się koni i ponad skalistym
wybrzeżem, które w chwili wschodu słońca zaiskrzy-
ło się, jakgdyby grubym złotym piaskiem posypane

Tem właśnie nadbrzeżem, o wczesnej poran-
kowej godzinie, wataha katorżników z fortecy om-
skiej dążyła na roboty.

Bęben, dający więźniom hasło do wstawania, jeszcze dobrze przed świtem zawarczał w ostrogu.

Przecież nikt nie uskarżał się, że go zbudowano zbyt wcześnie, gdyż gorące letnie noce w dużej atmosferze kazamat były istną katuszą, po której, chociażby najcięższa praca, wykonywana pod otwartym niebem, na świeżym powietrzu, wydawała się nieomal pokrzepiającą rozrywką.

Mieliśmy tego dnia w mrocznym, prastarym borze wycinać gąszcze, plantować ścieżki, robić na drzewach „zaciosy”.

A to wszystko w tym celu, aby gubernator zachodniej Syberyi: Piotr, syn Dymitra, książę Górczakow mógł z wszelką łatwością oryentować się w kniei, podczas polowań, które zamierzał wyprawić ku zabawie i uczeniu dygnitarzy, na inspekcję z Petersburga przybyłych.

Z łopatami na ramionach, z toporkami w rękach maszerowaliśmy krzepcy i weseli.

Weseli wszyscy bez wyjątku.

Nawet dozorca, chmurny i zgryźliwy zawsze, tym razem, ani kłął, ani naglił do pośpiechu, ani groził „kulą w łeb”, za usiłowanie ucieczki, ani oglądał kajdan, czy są dość mocne i nieprzepiłowane, co zwykł był czynić zwykle, ilekroć więźniowie pracowali w lesie, w stepie, nad Irtyszem, albo na odległych od Omska polach i gościńcach.

Czar malowniczej przyrody, wonnego powietrza uczynił dozorcę chwilowo łagodnym, ufnym, pobłażliwym, wględnym, wesołym.

A do tego stopnia wględnym, że przed go-

dziną dwunastą w południe rozkazał bębnić na odpoczynek.

Tedy cała wataha wyszedłszy z boru pod cieniem drzew przydrożnych, na murawie roztasowała się grupami.

My, Polacy, usiedliśmy na uboczu, starając się, jak zwykle, jaknajmniej miejsca zajmować, nie krępować w niczem naszych współtowarzyszów katorgi, nie ściągać na siebie nietylko ich niechęci, lecz nawet ich spojrzeń i uwagi.

Teodor Dostojewskij i Sergiusz Durow przysiedli się do nas.

— Poraz pierwszy odkąd przebywam w ostrogu omskim, po raz pierwszy dziś, tutaj oddycham pełną piersią i doznaję miłych wrażeń. Wrażeń takich, jakgdybym nie jako katorżnik, w przymusowych robotach, lecz jako człowiek wolny brał udział w jakiejś zamiejskiej wycieczce — rzekł po francuku powieściopisarz Teodor Dostojewskij.

Katorżnicy zbrodniarze nienawidzili „*polityków*”¹⁾, szydzili z nas, jako najwyższą obelgę wytykając nam to, żeśmy nie za pospolite zbrodnie byli na katorgę skazani, a także wytykając nam, przy każdej sposobności, nasze szlacheckie pochodzenie.

Zwłaszcza, jeśli zdarzyło się, żeśmy pomiędzy sobą rozmawiali nie po rosyjsku, wprost wpadali w furę.

¹⁾ *Politykami* zbrodniarze nazywali przestępców politycznych.

Dziś przecież wyjątkowo francuzczyzna Teodora Dostojewskiego przebrzmiała, nie zwracając uwagi, lub może była nam przebaczoną łaskawie.

Tylko aresztant Suszyłow splunął przez zęby w naszą stronę i, obrzucając nas pogardliwym spojrzeniem, na całe gardło zaśpiewał:

*„Pieter czres Maskwu priot,
„A tiepier wierjowki wjot”¹⁾*

Zaledwie parę wybuchów śmiechu zawtórowało strofie urągliwej piosenki Suszyłowa.

Ogólna uwaga zwróciła się ku nadchodzącym z miasta „kałasznicom”.

Nazywano kałasznicami dziewczęta, roznoszące „sajki”.

Dla wielu kobiet w Omsku wypiek tych pszennych bułeczek stanowił obfite źródło zysków, chociaż za sporą sajkę zaledwie półkopieski płacono.

Forteczni więźniowie masami kupowali sajki, chrupiące, świeże pieczywo pochłaniając równie żarłocznie, jak pożądliwie wpatrując się w rumiane twarze i zgrabne postacie młodziutkich sprzedawczyń.

One też zalotnie i zachęcająco zerkaty na lowelasów, z ogolonymi do połowy łbami, z piętnami wypalonymi na czole i policzkach, z kajdanami na nogach.

Gdziekolwiek poza obrębem ostrogu pracowali katorżnicy: w śródmieściu, czy na krańcach miasta,

¹⁾ „Piotr przez Moskwę pędzi
„A teraz sznury musi kręcić“.

w cegielniach, w bałaganach, czy w kuźniach, czy przy naprawie gościńca po slotach jesiennych, lub po wiosennych roztopach, o każdej porze roku, w godzinach południowego odpoczynku, wszędzie i zawsze te dziewczyny z koszami bułeczek pojawiały się, witane burzliwymi manifestacjami radości, oraz dowcipkami sprośnymi.

I teraz zbliżając się sprzedawczyni bułeczek katorżnicy nawoływali wesóło:

— Czekunda! Maryaszka! Chawroszka! — my dawno już chcieli przetrzeć zęby sajkami. Czemu dziś przychodzicie tak późno?.. gdzie wy się bałamuciły?

— Matuszkom my pomagały wysadzać z pieca sajki—odrzekły dziewczęta.

— Tak's?! bodaj was benderska zaraza wytłukła, jaka to prawda!

— Dzisz-go! będzie przeklinał! —z udanem oburzeniem odparły kałasznice, a Czekunda wyrzekła poważnie:

— Ja wam powiem prawdę. Prawda to szczerą jak złoto: od wczorajszej północy, do dzisiejszego południa, my jednym ciągiem tańcowały...

— W kabaku, pod rudym pejsem — przerwał Suszyłow—u Eljaszki parszywego...

— A nieprawda! a łiesz—niby to zaperzyła się Czekunda—nie w kabaku i nie u Eljaszki, lecz u samego jenerała, z oficerami my zabawiały się pięknie.

— Niechaj będzie u jenerała — rzekł Suszyłow — jenerał wielka figura! ale jenerał jenerałowi nierówny!.. ja wam powiem, mileńkie dziewczoczki: wy

u jakiego jenerała brodiagów¹⁾ z jego oficerami hasały...

Ten żart przyjęty wybuchem śmiechu katorżników, a udaniem oburzeniem kałasznic zakończył obustronną szermierkę słów.

Suszyłow jeszcze przygroził dziewczętom:

— Żebyście zaś słomiane krowy nie szczyrzyły zębów do polityków!

— Właśnie że będziemy! „*Prikaz*“ twój, wola nasza!—chichotały uszczęśliwione rozmową z kawalerami, a zapewne w równej mierze i tem, że groszyki do ich skórzanych kieszonek napływają za bułeczki, które suto zaprawione wyborną wodą ze źródła, sączącego się z pobliskiej skały, stanowiły integralną część naszego obiadu.

Już kałasznice, umieściwszy na głowach wypróznione koszyki zabierały się do odejścia—już dozorca miał wydać rozkaz, abyśmy powracali do lasu, do prac tam rozpoczętych, gdy nagle ukazało się nam przedziwne widowisko... Środkiem Irtyszu płynęła łódź, przybrana girlandami zieleni, w której tu i owdzie tkwiły różnobarwne kwiaty.

Ogromna, wykwintna, w kształcie olbrzymiego białego labędzia, miała purpurowe żagle i chorągiew z napisem: „*Mon plaisir*“.

Za tą pierwszą, jakgdyby przewodniczącą sunęła cała flotylla łodzi mniejszych, również biało pomalowanych, także ukwieconych i z różnokolorowymi żaglami.

¹⁾ brodiaga, zbrodniarz zbiegły z katorgi.

W łodziach siedziały kobiety w jasnych sukniach, w kapeluszach jasnych. Siedzieli też wojskowi wyższej rangi, w galowych mundurach konsystającego podówczas w Omsku pułku „krasnajarców“.

Prąd rzeki lekko unosił te piękne i wykwiłtne stateczki.

Majtkowie poruszali wiosłami tylko kiedy niekiedy, jakoby od niechceenia i prawie tylko wówczas, skoro towarzysząca flotylli orkiestra pułkowa zagrała *fortissimo*.

Pośród katorżników gwar śmiechów i rozmów przycichł zupełnie...

Na łodziach też, oczywiście, rozmawiano bardzo dyskretnie, gdyż dźwięki orkiestry jedynie z lekkim pluskiem irtyszowych fal splełtane wśród panującej naokół ciszy, rozbrzmiewały czysto, melodyjnie i bardzo wyraźnie.

— *Freischütz!*—zawołał Sergiusz Durow—a!... na tej operze byliśmy razem w Petersburgu. Pamiętacie, Teodorze Michałowiczu? — zapytał Dostojewskiego.

Ów uśmiechnął się melaucholijnie i odrzekł:

— Pamiętam.

Westchnęli obadwaj...

Tymczasem łodzie nadpłynęły już wprost nas. Katorżnicy odkryli głowy i frontem do rzeki stanęli wyprostowani, jak struny...

Konwojowi żołnierze sprezentowali broń.

W pierwszej z tych ukwiecionych łodzi, tej, z ponsowymi żaglami, pośród wojskowych i cywilnych dygnitarzy z Petersburga przybyłych i po-

pośród notablów omskich, zasiadających na ławeczkach, dywanami okrytych, pierwsze miejsce zajmowała generałowa Schramowa ¹⁾).

Przy niej, z prawej strony siedział jakiś petersburski dygnitarz, — z lewej gubernator, książę Piotr Gorczakow.

I ta flotylla z girlandami zieleni i kwiecica, z barwnymi żaglami, z muzyką, — ta flotylla pełna wolnych, strojnych i niefrasobliwych ludzi, środkiem majestatycznej rzeki, przed naszymi oczami przesuwiała się, niby fantastyczny obraz, niby jakaś czarodziejska wizya, niby sen, na jawie prześniony, w to lipcowe, słoneczne południe...

Znikała powoli...

Istny majak przelotny... powoli rozwiewała się... rozwiewała... aż znikła za skalistym cyplem, który ostro wrzynał się w Irtysz.

Melodye z „*Wolnego Strzelca*” coraz bardziej też rozwiewały się, w milczących przestrzeniach, w wonnym, rozłożonem powietrzu... aż wreszcie ucichły zupełnie i tylko poszept wiatru wionął ponad prastaremi drzewami...

Powracaliśmy do lasu, do przerwanych przed południem robót.

Ale ten piękny obraz, jaki przewinął się przed watahą tych ludzi, których żarł głód, nędza, niewola, upodlenie — ten piękny obraz poruszył w nich żółć, rozbudził zazdrość i nienawiść względem tych szczęśliwych wybrańców losu, jakich widzieli przed chwilą.

¹⁾ Patrz: *Siedem lat katorgi*.

— Marność nie ludzie! podle *kobyłki*! ¹⁾ ty-
siężne majątki mają, czeladny po grdyki nałado-
wane mają, jak generały, wylegają się na miękich
pierzynach... codzień upijają się, jak króle... „*Swo-
łocz*”, nie ludzie!—mówił Skuratow kulawy, szkara-
dny, do gnoma podobny karzeł.

Odetchnął, odchrząknął, splunął przez zęby i,
zwracając się do nas, Polaków, z urągliwym śmie-
chem zapytał:

— Nu's?... co?... nie, a!..., panowie „ślachta”?

I chociaż dozorca, podoficer Iwan Matwieicz
napominał ustawicznie:

— Mielecie językami, jak młyńskie kamienie,
mlecieć! mówię wam, mlecieć!

Próżne były napomnienia.

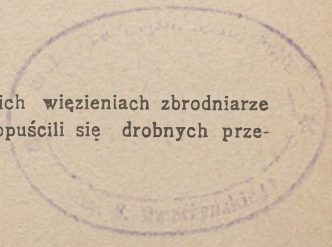
Daremnie też, wymachując knutem, naglił do
pośpiechu. Robota była wykonywaną powoli, opie-
szale, leniwie...

I nas pomimowoli ogarnął też smutek, cięższy
niż zwykle... ogarnęła nas jakaś nieprzewyciężona
ociężałość i apatya... I my też wbrew woli straci-
liśmy zwykłą równowagę moralną...

Nacinanie drzew utrudzało nas dziś i niecier-
pliwiło nadzwyczajnie, chociaż to była jedna z lżej-
szych i łatwiejszych robót.

Godziny wydawały się nam nieskończenie
długiel...

¹⁾ *Kobyłki*. Tak w syberyjskich więzieniach zbrodniarze
ogardliwie nazywają tych, którzy dopuścili się drobnych prze-
stępstw.



Tymczasem bór stawał się coraz bardziej mrocznym i dusznym...

Czubami drzew wstrząsały jakieś złowieszcze poszumy...

Aż z gromady gracujących ścieżki wyrwał się głos donośny, nad hukiem toporków i szczękiem łopat górzący, głos złośliwego karła Skuratowa:

— Uha! *gaspadin nadzieratel!* Już dzień sto-
pił się, jak świeczka Tobiaszki parszywego, a wy
jeszcze przy robocie trzymacie nas, *maładców?*

— Tacy wy i *maładcy!*—pogardliwie mruknął
dozorca Iwan Matwieicz.

— My nie maładcy, zgoda! ale praporszczyk
też nie oficer! — odciał się rzeczywiście dowcipny
Skuratow, czyniąc aluzję do słabostki Iwana Ma-
twieicza, który, będąc tylko podoficerem, wyma-
gał, aby mu oddawano honory (*cześć*), jakie dla
wojskowych wyższej rangi były przepisane.

Skuratow, za zabicie dwojga swego rodzeństwa
na dwudziestoletnią katorgę skazany, bywał wciąż
w doskonałym humorze.

Bystry, przytomny, rzeczywiście dowcipny, nie-
jako piastował urząd trefnisia w ostrogu omskim.
Potrafił rozweselać najbardziej ponurych. Każde
odezwanie się towarzysze przyjmowali głośniami,
niepohamowanymi wybuchami śmiechu.

Ogromnie się tem pysznił, czerpiąc też ze swo-
jego dowcipu niemałe korzyści.

„*Kaszowary*“¹⁾ podsuwali mu najsmaczniejsze

¹⁾ Kaszowarami nazywano kucharzy w więzieniu om-
skim.

kęski, współtowarzysze katorgi dzielili się z nim wódką i tytoniem, pomagali mu przy pracy, często nawet odrabiając za niego roboty, których karzeł bezsilny nigdy nie zdołałby wykonać sam...

Kiedyśmy wyszli z boru, słońce już chyliło się ku zachodowi, rzucając na wody Irtysza fioletowe i krwawe odbłyски.

Od Kirgizkich stepów szły parne, duszące powiewy...

W miarę, jak zbliżaliśmy się ku miastu, zerwał się wiatr.

Skądciś, z daleka, przypędził ohmurkę.

Przemknęła po gorejącej łunie zachodu, przyćmiewając jej barwy jaskrawe.

Za chwilę pojawiła się druga, większa i gęściejsza chmurka... Niebawem zciemnił się i zachmurzył cały widnokrąg...

Lekkie powiewy zamieniły się w wichur gwałtowny...

Wzdłuż drogi, prowadzącej do Omska, były różne rządowe, drewniane budynki: *bałagany*¹⁾, służące za skład cegieł i paszy dla koni artyleryjskich, szopy do tłuczenia i wypalania alabastru i cegielnie.

Wszystkie te budowle były już szczelnie zamknięte. Tylko w ogromnej, murowanej kuźni żolnierze pracowali jeszcze.

Huk uderzeń młotami, brzęk sztab żelaznych, na kamienną podłogę ciskanych, rozlegał się naokół.

Z komina wałyły snopy iskier. Snopy czarnego dymu pięły się wysoko, wysoko rozplywając

¹⁾ Bałagan—drewniana szopa.

się wreszcie pod chmurnym, prawie czarnym firmamentem.

Przed kuźnią stało kilka wozów, naładowanych żelazem.

Gdyśmy przechodzili mimo, będący przy tych wozach oficer zatrzymał partyę okrzykiem:

— Stać!

Zatrzymaliśmy się, oczekując dalszych rozkazów.

Okazało się, że nasza pomoc była potrzebną przy wyładowaniu i znoszeniu do kuźni sztab żelaznych, do czego, chociaż bardzo niechętnie, zabraliśmy się odrazu, bo wszak nie mieliśmy prawa ani odmówić, ani nawet zaprotestować.

Zaczął mżyć gęsty, drobny deszczyk.

Wczesna to jeszcze była, przedwieczorna godzina...

Złocisto-purpurowa wstęga dogasającej zorzy jaśniała jeszcze na zachodzie, lecz z innych stron firmament był tak zachmurzony, iż zdawało się, jakoby cienie nocne już zaczynały snuć się ponad ziemią.

— Samo niebo użala się nad nami i roni łzy nad naszą ciężką niedolą!—mówił Sergiusz Durow ¹⁾, który figur retorycznych i patetycznych, górnołotnych zwrotów lubił używać, pozując zawsze na męczennika za świętą sprawę, na wielkość mściwą ręką losu skrzywdzoną i upokorzoną srodze.

Niebawem deszczyk zamienił się w ulewę kroplistą, połączoną z gradem niezwykłej wielkości.

¹⁾ Patrz: *Siedem lat katorgi*.

Przemokliśmy do suchej nitki. I bardzo byliśmy wdzięczni oficerowi, gdy ten, naradziwszy się z Iwanem Matwieiczem zdecydował, abyśmy przeczekali nawałnicę i pozwolił nam schronić się do kuźni.

Weszliśmy.

Przy olbrzymiem kowadle i miechu pracowali tutaj obnażeni do pasa żołnierze.

Od ogniska buchał żar, jakgdyby z jakiejś groty Cyklopów, albo czeluści piekielnej. Kowale, zgodnie z uderzeniami młotów, chórem śpiewali jakąś bardzo smętną pieśń.

Nagle... huknął strzał... jeden... drugi... trzeci...

Zaczem kilkanaście pistoletowych strzałów gruchnęło jednocześnie...

Oficer i dozorca, Iwan Matwieicz, poskoczyli ku drzwiom wyjrzeć co się stało... A skoro wystrzały nieprzerwanym ciągiem następowały jedne po drugich, żołnierze porzucili miech, kowadło i młoty, a za nimi my wszyscy, wbrew subordynacyi, wysypaliśmy się z kuźni, na gościniec.

Przy ostatnich już błyskach zachodniej zorzy, ujrzeliliśmy rzecz straszną...

Wody Irtyszu wzdymały się... wzbierały... rosły... Przed paru godzinami Irtysz płynął tak spokojnie i cichutko... teraz ryczał, niby jakiś legendowy potwór, ze swej rozdziawionej paszczęki wyrzucający istne fontanny mętnych fal i szaro-białawe piany.

Wicher, przeraźliwie świszcząc, w górę unosił wzburzone fale; skręcał je w trąby i niby w jakiś piekielny, zawrotny taniec porywał owe ukwiecone

łodzie, które w pogodne słoneczne południe pod błękitnym baldachimem firmamentu, z muzyką przepływały przed naszymi oczyma.

W powrotnej żegludze do Omska zaskoczyła je burza.

Huragan pozrywał z masztów kwietne girlandy, na strzepy poszarpał barwne żagle, połamał stery, wiosła wciąż wytrącał z rąk utrudzonych majtków...

Łodzie usiłowały przybić do brzegu...

Daremnie...

Wicher odpychał je wciąż od brzegów... odpychał je na środek rzeki...

Spotykały się z sobą i, tłukąc się o siebie, wyrządzały sobie szkody nawzajem.

Wydawało się, jakoby dwie żywiołowe potęgi: huragan i woda sprzymierzyły się z sobą i sprzyścięły, aby zdruzgotać, zniszczyć, w irtyszowe odmęty pogrążyć tę piękną flotyllę i tych ludzi tak wesółych i niefrasobliwych przed niewielu godzinami.

Ujrzawszy oświetlony budynek i gromadę mężczyzn na gościńcu, nieszczęśni żeglarze zaczęli strzelać z pistoletów.

To było wzywaniem pomocy, to było prośbą o ratunek...

Lecz nawet przy najlepszych, przy najgorętszych chęciach jakakolwiek pomoc była tutaj wprost niemożliwą i z braku ludzi i z braku lin, a zwłaszcza podczas tego sabatu rozpętanych żywiołów, podczas kiedy deszcz lał strumieniami, kiedy wicher łamał drzewa przydrożne, które na gościniec waliły

się z trzaskiem... kiedy grzmiało nieustannie, kiedy oślepiały błyskawice, a pioruny, niby złociste węże z chmur—w Irtysz bezprzestanku padały i tonęły w przepaścistych głębiach rzeki.

Gwałtowną i straszną była ta burza.

Szczęściem niedługo trwała, jak się to letnią porą zdarza dosyć często...

Kiedy huragan i pioruny przycichły cokolwiek, oficer rozkazał żołnierzom odpręgnąć konie od wozu i wierzchem pędzić do miasta po łodzie i liny, po ludzi i powozy. Nas zatrzymał, przypuszczając, że przy akcji ratunkowej nasza pomoc mogłaby okazać się potrzebną.

.....
Czarne, strzępiaste chmury z nad rzeki, i z nad stępu i wybrzeża irtyszowego pomknęły ku północy i wprędce znikły, po za horyzontem dalekim.

Irtysz uspokoił się zupełnie...

Tylko „baranki“ czyli płyty piany, pływające po gładkiej teraz powierzchni wód, świadczyły o poprzednim wzburzeniu i wezbraniu rzeki, oraz o przełocie nawałnicy i burzy gwałtownej...

Mimo to, położenie flotyli było wciąż niebezpieczne bardzo.

Usiłowania majtków przybicia albo chociaż zbliżenia się do tego wybrzeża, skąd mogła przyjść pomoc i ratunek, pozostawały wciąż bezskuteczne.

Wiatr gwałtownie popychał łodzie ku środkowi rzeki, ku największym głębinom.

Kobiety w łodziach rozpaczliwie krzyczały:

— Ratujcie! ratujcie! na Boga i świętego Mikołaja cudotwórcę, ratujcie!

— Zaraz! zaraz! uspokójdźcie się! proszę pokornie! — całą siłą swoich młodych płuc odkrzykiwał oficer, białą, do długiej żerdzi przywiązaną chustką wskazując w stronę Omska, aby tym sposobem dać do zrozumienia nieszczęsnym rozbitkom, że z miasta lada chwila pomoc powinna nadciągnąć.

Najwięcej ucierpiała łódź o purpurowych zaglach, ta właśnie, którą zajmowała generałowa Schramowa, z notablami omskimi i gośćmi z Petersburga.

Wykwintna: „*Mon plaisir*“ widocznie była przedziurawioną.

Nie ruszając się z miejsca, zagłębiona w rzece, chwiała się ociężale. Majtkowie coś majstrowali na dnie. Oczywiście, usiłowano zatkać otwór groźny.

Damy w przemokłych sukniach stały na ławkach, mężczyźni czapkami wylewali wodę z łodzi, dla utrzymania jej w równowadze przechodząc z jednego końca na drugi.²

Raz po raz z „*Mon plaisir*“ wyrzucano rozmaite przedmioty: dywany, któremi przedtem ławki były okryte, jakieś koszyczki, pudełka, szale, parasolki, płaszczyki damskie...

Robiono to w tym celu, aby łódź stawała się coraz lżejszą.

Mimo to wszakże stateczek zagłębiał się coraz więcej... zdawało się, że lada moment pójdzie już na dno...

A ludzie z Omska, z akcją ratunkową nie przybywali... nie przybywali...

Inne stateczki, do tej flotyli należące, mniej więcej zbliżyły się ku brzegom, ku ocaleniu. Tylko

łodzi o purpurowych żaglach groziła nieunikniona i rychła zagłada...

Nagle w „*Mon plaisir*” podniósł się żołnierz dotychczas przy jakiejś robocie schylony.

Widać przywołany przez generała Ab: zbliżył się do niego i salutował.

Generał wydał mu jakiś rozkaz krótki.

Żołnierz salutował powtórnie.

Zaczem wyprostował się całą swoją olbrzymią postacią, zdjął czapkę, cisnął ją na dno łodzi, spojrział w niebo jasne, zaróżowione lekko, zupełnie pogodne w tej chwili, — przeżegnał się trzykrotnie, szeroko rozłożył ramiona i rzucił się w rzekę z okrzykiem:

„*Gospodi pomituj!*”

„*Mon plaisir*” zakolysała się gwałtownie, a potem podniosła się cokolwiek...

Cała flotylla spacerowych łodzi z „*Mon plaisir*” włącznie została od rozbicia i zatopienia uratowaną szczęśliwie.

Książ Gorczakow i generałowa Schramowa zarządzili jeszcze świetniejsze polowanie, aniżeli to, jakie było projektowane w pierwotnym programie.

Prawdopodobnie owa świetność miała dla dygnitarzy, z Petersburga przybyłych, stanowić kompensatę za ową niefortunną żeglugę po Irtyszu, za strach i przykre emocje, których doznali podczas burzy, szalejącej nad okolicą.

Przeto, w dalszym ciągu, chodziliśmy do boru wycinać przejścia w gąszczach, gracować ścieżyny, z miękkich mechów i z darni układać ławki,

ze świętych gałęzi robić szałas, w których mieli odpoczywać myśliwi, altany, gdzie miały być zastawione suto posiłki.

Trzeciego dnia po owej burzy, kiedyśmy z robot w lesie brzegiem Irtyszu wracali do ostroga poprzedzający partyę katorżników konwojowi, nagle przystanęli z okrzykiem:

— Andronik Onoprienko!

W głosie konwojowych dźwięczał żal i ogromny strach...

Żegnając się wielokrotnie i bezładnie powtarzając słowa jakiejś modlitwy, cofali się wstecz, jakgdyby zastępowało im drogę jakieś widmowe zjawisko.

Cała wataha katorżników przystanęła również...

— *Nu's!* czego wy się zatrzymali?... czemu taki wrzask podnieśli?—dopytywał się dozorca.

W odpowiedzi jeden z konwojowych spuścił rękę, wskazał na ziemię i drżącym głosem zawołał powtórnie:

— Andronik Onoprienko!

Na wilgotnym piasku leżał trup...

Siny, odęty, z rozwartymi powiekami, leżał trup owego żołnierza, który przed trzema dniami z łodzi „*Mon plaisir*” wskoczył w nurty Irtysza...

Trafił na głębię i utonął...

Nikt się o niego nie zatroszczył...

Nikt nie poszukiwał jego zwłok...

Wszelako burzliwy i niszczyielski żywioł tym razem okazał się miłosiernym: woda zwróciła ziemi ciało, aby spoczęło w poświęconej ziemi.

— *Nu's* i czemu stoicie, jak bałwany?... bo-
dajbyście spłonęli od gorzały! — irytował się podoficer. — Andronik Onoprienko utopił się, wielka rzecz! To i czemuż z łodzi wyskakiwał, *duraczi-szcze?*

Skuratow z szeregu wystąpił naprzód i, zsu-
nawszy czapkę na tył głowy, rzekł:

— On-że biedniaczek, Iwanie Matwieiczu, sko-
czył w rzekę, bo taki „*prikaz*” od jenerała swego
dostał.

To przemówienie Skuratowa wywołało podziw
ogólny. Ten i ów chwiał głową, z niedowierzaniem,
a podoficer zgromił karła.

— Łżesz, zarazo sybirska!

Karzeł obstawał przy swoim.

— Nie łgam, Iwanie Matwieiczu, „*czestnoje*”¹⁾
słowo, nie łgam! Newalid i Gryszka i inne matrosy
gadały o tem wczora, kiedyśmy pomagali im łado-
wać na wozy popsute łodzie. Andronik Onoprienko,
wiadomo, tłusty był, jak wół, a wielki i mocny jak
niedźwiedź, tak i ciężki był okrutnie... A łódź z gu-
bernatorem i z jenerałami była dziurawa... Tak, że-
by ulżyć łodzi, generał kazał wyskoczyć Onoprience.
Gryszka i Newalid i wszystkie matrosy słyszały, jak
się *prewoschoditelstwa* naradzali: „nie będzie mu
nic, wykąpie się, bo pewno brudny jest, dopłynię
do brzegu, dostanie gorzałki i połowinu rubla”.
„*Wierno*” tak jenerałowie gadały... Ale biedniaczek
Andronik nie dopłynął i gorzałki nie zdążył wypić

¹⁾ Czestnoje słowo: słowo honoru.

i połowinu rubla nie dostał. *Nu's* i życie postradał...

Doznałem wrażenia, jakgdyby mroźny wiatr powiał od północy i zlodowacił mi krew podczas tej opowieści katorżnika Skuratowa.

.
Droga do fortecy, gdzie mieściły się kazamaty dla więźniów, prowadziła tuż obok letniego obozowiska pułku, do którego należał nieboszczyk Andronik Onoprienko.

Śród płóciennych pałatek kręcili się żołnierska, a kończąc swoje codzienne zajęcia, śpiewali chórem:

*„Nam prikazut—my idiom,
Nam prikazut—my staim,
Nam prikazut—my leżym
I, do prikaza, w grobie spim!“*

My, Polacy: profesor Żochowski, Mirecki, Józik Bogusławski i ja, szliśmy skupioną gromadką.

Zaledwie przycichł ten śpiew, smutkiem i bezgraniczną rezygnacją brzmiały, przyskoczył do nas Teodor Dostojewskij.

— Słyszeliście, panowie!..: czy słyszeliście tę pieśń? Zuchy! zuchy krasnojarey! Zuchy!.. Ach! z armią tak karna! z taką armią można cudów dokazywać... Można tyle odnieść zwycięstw i.. Aleksandra Macedońskiego zakasować... Można zdobyć Carogród... zwyciężkie, rosyjskie sztandary zatknąć nad Bosforem i Hellespontem... Można zawojować i ujarzmić cały świat!..

Mówił zachwycony, z rozjaśnioną twarzą, ze wzrokiem płomiennym...

Spoglądał dumnie...

Wyciągnął ramiona, jakgdyby tuż... tuż przed sobą widział wcielenie jakiejś wizyi cudnej i promienistej...

Tymczasem zbliżyliśmy się już do częstokołu, okalającego fortecę.

Konwojowy pociągnął za dzwon, uwieszony przy bramie.

Otworzono ją, zaskrzypiała na wierzejach...

Partya katorżników wkraczała w obręb ostrogu...

Gefrejter zaczął liczyć powracających z roboty:

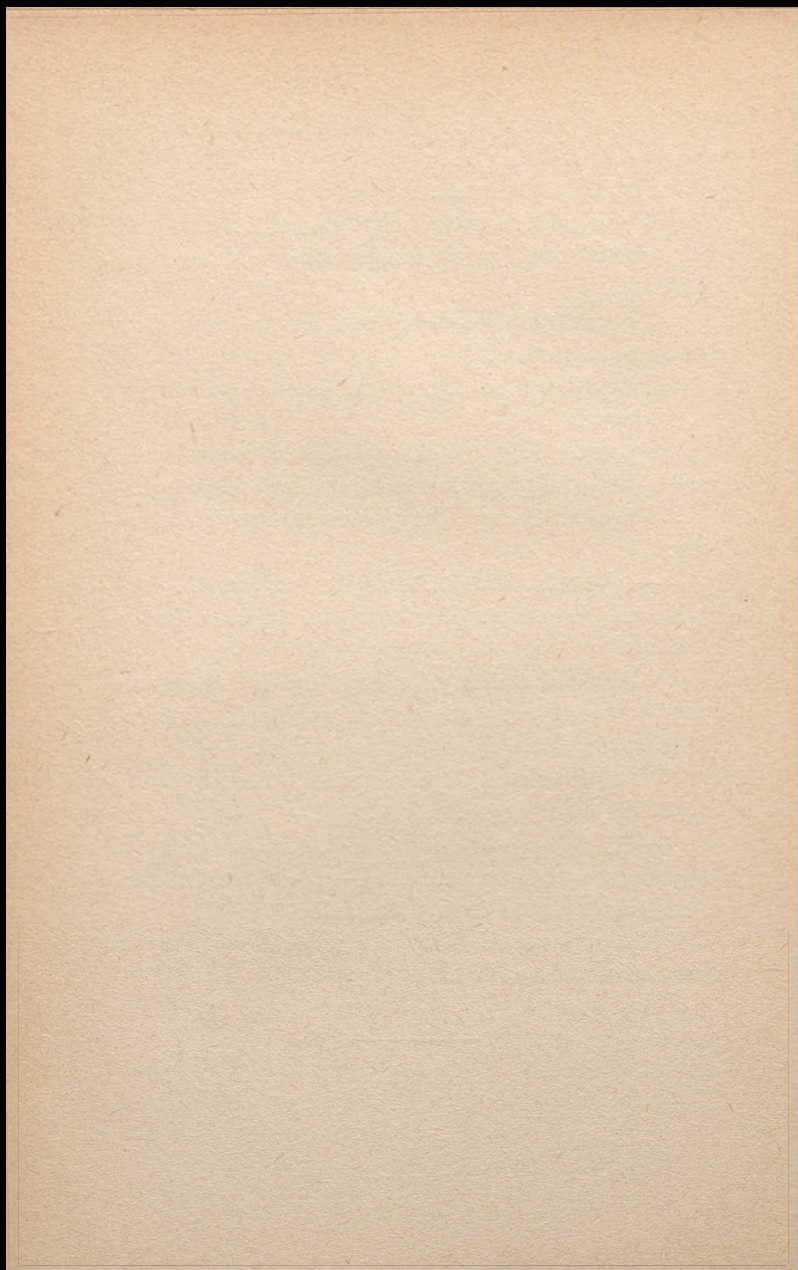
— Jeden!... drugi!... trzeci!... czwarty!...—wykrzykiwał, dotykając długim kijem ramienia każdego z nas.

Czego dokonawszy, cotnął się do swojej siedziby w domu, przy oficerskich pokojach, katorżnicy zaś pośpieszali na obiad do kuchni.

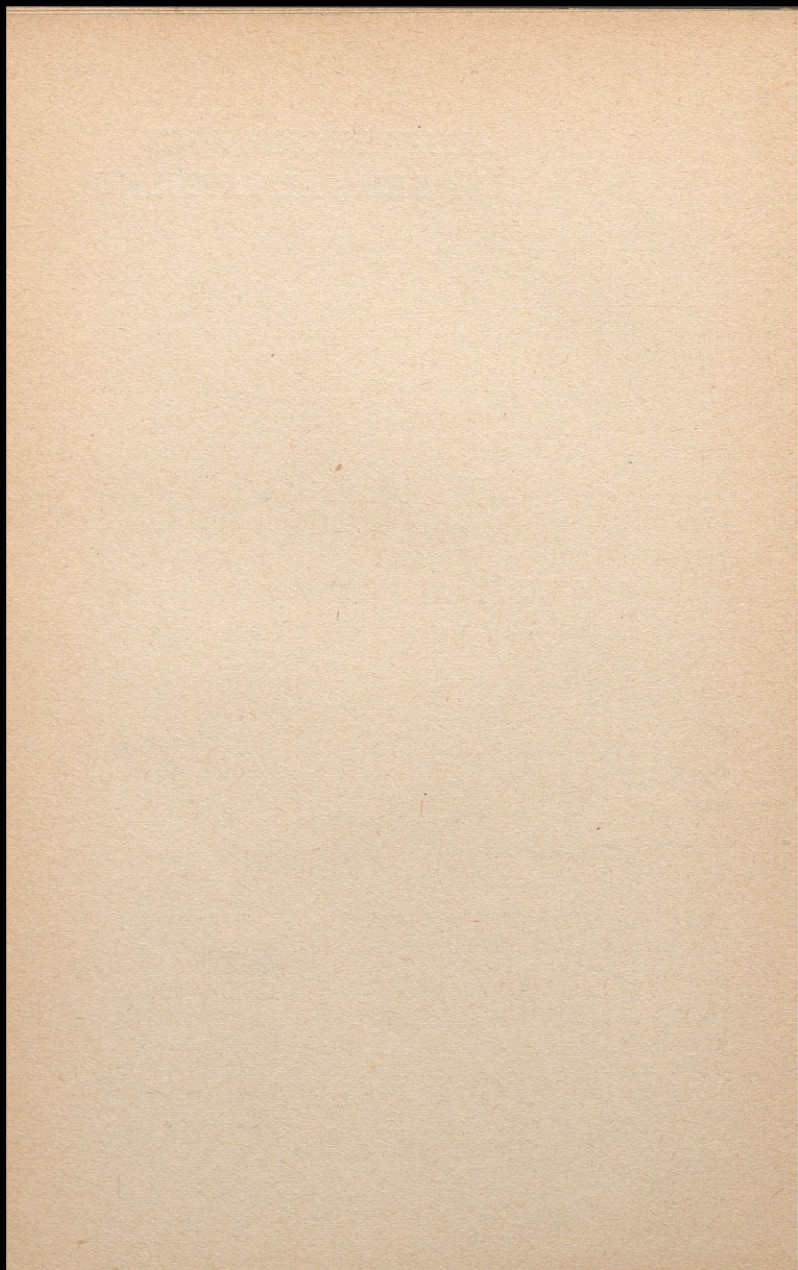
Nam, Polakom, idącym razem, Teodor Dostojewskij zastąpił drogę.

— A to, o czem mówiłem wam przed chwilą, panowie, nastąpić musi... musi — powtarzał z naciśkiem—*ja* wam to powiadam, *ja*!

Nie odpowiedzieliśmy ani jednym słowem, ani nawet gestem żadnym...



ADAM MICKIEWICZ
W SEMIPAŁATYŃSKU.



W pochodzie do katorgi partyi, złożonej z kilkudziesięciu zbrodniarzy, a trzech politycznych przestępców Polaków¹⁾ we wrześniu r. 1849 wyznaczono kilkudniowy odpoczynek w Siemipałatyńsku.

Zatrzymano nas w twierdzy o pół wiorsty od miasta odległej.

Forteca i miasto otrzymały swoje nazwy od ruin jakichś siedmiu budynków (*pałat*), w czasie mojej bytności jeszcze zachowanych doskonale i świadczących o wielkiej ich starożytności i wspaniałości.

W Siemipałatyńsku wielu podówczas przebywało Polaków, przestępców politycznych, prostych żołnierzy z wykształceniem wysokiem i ex-katorżników, którzy po odbyciu przymusowych robót, jako osiedleńcy, otrzymywali posady w rozmaitych biurach i dosługiwali się, dzięki swej ucziwości i wykształceniu, wyższych rang w hierarchii urzędniczej.

¹⁾ Polakami tymi byli: Józef Bogusławski, profesor Żochowski i piszący te słowa.

Skoro po mieście gruchnęła wieść, że w partyi są też i Polacy, zaraz nazajutrz po naszym przybyciu pojawili się w twierdzy kochani ziomkowie, z powitaniem i odwiedzinami.

Z rodaków, Józef Hirszfeld, ex-żołnierz, ówczesny pełnomocnik i zarządzający interesami bogacza, kupca Popowa, zajmował w Semipałatyńsku stanowisko bardzo, a nawet można powiedzieć, wyjątkowo wybitne.

Dzięki przymiotom swego umysłu i charakteru cieszył się zupełnem zaufaniem swego mocodawcy i szacunkiem ogólnym.

Przytem zuanemi sobie sposobami umiał pozyskać względy władz, z którymi z racyi różnorodnych interesów kupca Popowa musiał mieć stosunki i być z niemi w ciągłym i nieustannym zetknięciu.

To też bez wszelkich trudności od dowódcy batalionu Bielikowa, Józef Hirszfeld uzyskał pozwolenie, abyśmy: profesor Żochowski, Józik Bogusławski i ja, cały jeden dzień przepędzili w jego domu i z nim zwiedzili miasto.

Semipałatyńsk nad Irtyszem i Semipałatyńką, w r. 1849 miał wygląd miastom Wschodu właściwy.

Te orientalne cechy nadawało mu dziewięć meczetów, szkoły muzułmańskie, liczne karawanseraje, ludność przeważnie z Kirgizów-Kajsaków złożona, ludność, Rosyanom niechętna, z żalem wspominająca owe czasy, kiedy w Semipałatyńsku rządził i rezydował chan. Czasy to były niedalekie, bo dopiero przed dwudziestu ośmiu laty, czyli w r. 1818,

rząd rosyjski zniósł chanat, a semipałatyńską obłast z jej stolicą oddał pod zarząd i władzę gubernatora Zachodniej Syberyi.

Wróciwszy z oględzin miasta, w domu Józefa Hirszfelda zastaliśmy już oczekujące na nas liczne towarzystwo.

Był tu urzędnik intendenty Orliński, katorżnik z r. 1825; był żołnierz Jan Maj, wzięty do wojska z warszawskiej Akademii duchownej, był żołnierz Rokicki i Zieliński osiedleniec, urzędnik komory celnej.

Był Rosyanin, kapitan Tarasow, który swoją wojskową karierę rozpoczął w Królestwie, skąd uniósł jaknajmilsze wspomnienia.

Było jeszcze kilku Rosyan bardzo przychylnych Polakom i było jeszcze wielu rodaków osiedleńców, których nazwiska z biegiem długich lat, niestety! uleciały mi z pamięci.

Całe towarzystwo było usposobione wybornie.

Nam trzem na każdym kroku dawano uczuć i poznać, że jesteśmy najpierwszemi osobami w tem zebraniu, najmilszemi gośćmi i towarzyszymi pożądanymi.

W tej atmosferze uprzejmości, serdeczności iście braterskiej—w tej atmosferze, od której, od czasu więzień i pochodów odwykliśmy, łatwo nam było chwilowo zapomnieć o tej niedoli ciężkiej, a nieuniknionej, która już na nas czyhała, a która, któż to mógł wiedzieć?... może na całe życie miała pozostać naszym udziałem.

Zebraliśmy się w wielkiej, prostokątnej izbie, przejasno oświetlonej ośmiu oknami, wychodzącemi

na rozległy plac, bujną, żółknącą już murawą zarosniętą.

Urządzenie pokoju było ubogie.

Józef Hirszfeld za swoją pracę pobierał od kupca Popowa wynagrodzenie, jak na owe czasy wysokie i rozporządzał dużymi środkami materialnymi, wszelako swoje potrzeby osobiste zredukował do minimum, mniemając, że zbytki nie przystoją wygnańcom i grzechem są podówczas, kiedy tysiące braci rodaków dotkliwą nędzę cierpi w tej krainie północnej, a tak od Ojczyzny dalekiej.

W świetlicy Józefa Hirszfelda było przecież coś, co, radując serce i wzrok Polaka, przykuwało jego oczy do siebie.

Było to kilkanaście starych, nawet dosyć zniszczonych sztychów.

Oprawne w wąskie, skromne, czarne, jakgdyby żałobne ramki, wisiały portrety dwóch ostatnich Jagiellonów, Stefana Batorego, zwycięzcy z pod Wiednia, Kościuszki, Kazimierza Puławskiego, księcia Józefa i Napoleona.

Nikt z powodu tych wizerunków nie niepokoił Józefa Hirszfelda, gdyż, oprócz Napoleona, przedstawiały osoby w tym zakątku świata nieznanne, lecz dla wygnańców Polaków było to upajającą rozkoszą patrzeć na te ukochane oblicza!...

Gawęda w tem dobranem kółku snuła się żywo i swobodnie.

Jej podstawą i niezrywającym się wątkiem były opowiadania o huraganach, które nas z Ojczyzny porwały, i aż do tej ziemi wygnania przypędziły, opowieści o naszych osobistych przygodach,

o losach innych braci, z którymi łączyły nas niegdyś węzły jednakich celów i wspólnej działalności; o losach tych, z którymi spotykaliśmy się w więzieniach, na etapach, w pochodach.

Zaiste! był to temat i bogaty i niełatwy do wyczerpania!...

Śród takich rozmów nagle w izbie pojawił się jakiś młodzieniec.

Rozglądał się bystro, a, wyszukawszy wzrokiem gospodarza, przywoływał go, na migi.

Wyszli obadwaj.

Niebawem Hirszfeld wrócił zaambarasowany.

— Cóż za kazus niemiły! — rzekł do profesora Żochowskiego, — kiedy mam u siebie tak drogie sercu gości, jak wy, zjeżdżają kupecy, z którymi handluje mój chlebodawca. A trzeba wam wiedzieć, moi drodzy, że nasze stosunki handlowe sięgają bardzo daleko, aż Bucharyi Kaukazu, a nawet Chin. I wyobraźcie sobie, że z różnych stron nadsięgnęły dziś transporta: dywanów, matery jedwabnych, tytoniu, koni. Jakgdyby na złość dziś, wszyscy dali sobie *rendez-vous* w Semipałatyńsku!... Muszę tedy do kantoru pójść, co ważniejsze i pilniejsze sprawy zepchnąć od ręki, resztę do jutra odłożę. Postaram się wrócić do was jaknajspieszniej.

— Idź bracie, trudno „służba nie druźba”, — odpowiedział profesor Żochowski.

Zbliżył się do nas kapitan Tarasow.

— Podobno nadeszły konie zamówione przez gubernatora, księcia Gorczakowa. Będą je tedy prowadzili do stajen. Możebyście, panowie, chcieli

na nie popatrzeć? W takim razie proszę, stańcie przy oknie. Jestem pewien, że są warte niejednego rzutu oka.

— I owszem — odpowiedziałem — popatrzemy bardzo chętnie. Każdy polski szlachcic jest urodzonym miłośnikiem koni.

— No, więc podziwiajcie, panowie! — wołał Tarasow, skorośmy razem z nim w otwartym oknie stanęli.—Nieprawdaz? przepyszne ardamaki.

— Ardamaki? jakaż to rasa.

— Turkiestańska. Ardamak, to chyba najdoskonalszy wierzchowiec na kuli ziemskiej! Do podziwu zręczny, wytrwały, wytrzymałszy na trudy, niżli koń arabski, chybki, może setki wiorst prawie bez wytchnienia przebiegać, jakgdyby miał skrzydła u swoich zgrabnych suchych nóżek, bardzo rzadko podkowami obciążonych.

— Pyszne zwierzęta! — egzaltował się kapitan Tarasow, kiedy przed oknami przedelfowało sześć, przedziwnie dobranych koni, złotogniadych, o miękkiej, lśniącej sierści, o jedwabistych grzywach, małych łbach i uszkach maleńkich, a wielkich, pełnych ognia oczach.

I temperament koni widocznie był też ognisty, mimo utrudzenia długotrwałym pochodem.

— W Turkiestanie — mówił Tarasow — ardamakom do zwykłej paszy dodają barani łój, który te konie jadają chętnie. Jediną wadą tych cudownych wierzchowców jest ich cena wysoka. Ach! żeby to człowiek chociaż na rok przed śmiercią mógł stać się posiadaczem takiego konika... cóżby to było za szczęście!

Westchnął, a w trakcie tej rozmowy powrócił Józef Hirszfeld w towarzystwie kilku mężczyzn, którzy obecnych witali bardzo przyjaźnie i serdecznie, jako dawnych, dobrych i zażyłych znajomych.

Hirszfeld podprowadził ich ku nam i po rosyjsku rzekł:

— Moi przyjaciele, Gruzini.

A na nas wskazał mówiąc.

— Moi bracia, Polacy.

Zaczem wymienił nazwiska Gruzinów i nasze.

Młodzieńcy, z którymi zaznajomił nas gospodarz, mieli na sobie czarne, sukienne sukmany, fałdowane od stanu, w pasie ujęte mieniącą, szeroką, złoto-srebrzystą taśmą, od której zwieszały się długie, zakrzywione karabele.

Na piersiach mieli ładownice bogate, za pasem pistolety i kindżały z sutą srebrną inkrustacją na rękojeściach.

Wielkie, w złoto oprawne turkusy spinały kołnierze ich koszul białych. Czarne baszłyki z miękkiej tkaniny wełnianej, lekko pod szyją związane, spadały im na ramiona i na plecy, bynajmniej nie psując ślicznych linii tych postaci wysokich, prostych, szczupłych, od których biła energia młodzieńcza, szlachetna wyniosłość, połączona z ufnością we własne siły i z nieustraszoną odwagą.

Wszyscy ci młodzieńcy należeli do znacznych gruzińskich rodów podupadłych i zubożałych po ostatecznej utracie niepodległości Gruzji. W liceum Rieszelięgo, w Odesie, otrzymali wyższe wykształcenie,

a władając dobrze językiem francuskim, niemieckim i rosyjskim, wybrali sobie karierę handlową, zapewniającą im więcej osobistej swobody, oraz, co najważniejsza, niezależność przekonań politycznych.

Podróżowali dużo, a jako agentom bogatych kupców nieraz wypadło im wprost z jakiegoś na pół dzikiego zakątka Azji przetrzucić się do ucywilizowanej Europy.

Porozumienie serdeczne pomiędzy nami nastąpiło bardzo prędko.

„*Polenuli*”*), jak nas zapewniali młodzieńcy, cieszą się wielką sympatyę Gruzynów...

Hirszfeld po staropolsku ugaszcział swoich gości. Ogólna serdeczność rozgrzała atmosferę humorów i uczuć.

Nagle Zieliński basem, od którego aż zatrzęsły się ściany pokoju, zaśpiewał:

... „*Dosyc, bracia, w kacie siedzieć,*
 „*Nic nie słyszeć,*
 „*Nic nie wiedzieć,*
 „*Zaspiewajmy!*...

— Owszem, owszem, będziemy śpiewali. Lecz pierwszy numer koncertu ustąpmy Gruzynom—rzekł Hirszfeld.

Zaraz też jeden z młodzieńców wyszedł.
 Wnet przecież pojawił się z powrotem.

*) Polenuli: Polacy.

Za nim służący wniósł duże, mocne, okute pudełko z czerwonej skóry.

Otworzono je i wydobyto muzyczne instrumenta dęte, kształtem do klarnetów podobne.

W pośrodku pokoju Gruzini zasiedli kołem i i wszyscy sześciu bardzo zgodnie zagrali kaukaską „*lezginke*“.

Była to muzyka huczna, w najszybszem *allegro*, porywająca jak burza, jak wieher, odurzająca jak szal...

Ucichła nagle, niby przelotna burza i wraz bez żadnej przerwy, bez żadnej najkrótszej pauzy, jeden z Gruzinów zaśpiewał.

Tekst pieśni (o ile objaśniono mnie później) był na tle narodowych nieszczęść Gruzji osnuty... Tenor Grzegorza Rustawolli brzmiał smutkiem bezbrzeżnym...

Chwilami zdawało się, że ten cudny głos zrywa się, łamie, w tłumionem łkaniu... że śpiewak wybuchnie płaczem rozpaczliwym, tyle było w tym głosie prawdziwego, szczerego sentymentu.

Akompaniatorzy wybornie dostrajali się do śpiewaka.

Zaiste, nie słysząc, trudno by uwierzyć, że z tak prostego instrumentu, jak kaukazka „*Zarna*“ można tyle melodyi, tyle ekspresyi wydobyć.

— Niezwykła to rzecz, aby muzy swojemi darami obdarzały tych, którzy służbę u Merkurego przyjęli. Pan, widzę, jesteś wyjątkiem, posiadasz pan głos niezwykle czysty i dźwięczny — mówiłem do Grzegorza Rustawolli.

On uklonił się i rozśmiał, mówiąc:

— Polacy od wieków słynęli z uprzejmości, z wytworności i układności obejścia. Stykając się z rodakami pana, miewałem sposobność przekonać się o tem nie raz jeden. I nasz poeta, Jerzy Eri-stawi, także o tem wspomina. Czy słyszał pan o Eri-stawim?

— Ze wstydem wyznaję, że nie.

— Bo on przez czas dłuższy przebywał pośród was. Jako spiskowiec w 1834 r. został na wygnanie wywieziony do Wilna. Na honor! można mu pozazdrościć takiego wygnania... Później przebywał w Warszawie, gdzie się nauczył po polsku. I z tej umiejętności skorzystał w ten sposób, że na język gruziński przełożył improwizacyę „Konrada“ i „Sonety Krymskie“. Te przekłady zapoznały mnie z waszym wieszczem. Kiedym się kształcił w liceum Ri-szeliego w Odesie nauczyłem się uwielbiać Adama Mickiewicza... Tam, pamięć Adama żyje, tam kult wieszczą kwitnie, pośród młodzieży... tam każdy młodzieniec poezye Adama zna, umie je na pamięć.

— Czy podobna?... bo że u nas w kraju tak jest...

— I tam również. Tam przecież wielu jest Polaków... A każdy szczęśliwy posiadacz drukowanych poezyi Mickiewicza musi ten swój skarb ukrywać, jak zbrodnię, która bywa karaną bardzo surowo... Mimo to poezye Adama krążą pomiędzy młodzieżą w odpisach, w kartkach powydzieranych z książki. Przez parę lat te powydzierane kartki wyławiałem, niby kosztowne perły, aż udało mi się zebrać całe dwa tomy, calusieńkie... Pragnąłem oddawna, wywdzięczyć się panu Józefowi Hirsz-

feldowi jakim podarunkiem za jego dobroć, uczynność, gościnność... dziś dopiero mogę złożyć taki podarunek drogocenny. Patrz pan!

Wyciągnął jedwabny woreczek, który miał ukryty na piersiach, z woreczka wyjął dwa tomy.

Spojrzałem na nie...

Był to „*Pan Tadeusz*“ wydany w 1834 roku.

„*Pan Tadeusz*“, złożony z owych latających pomiędzy młodzieżą kartek.

.....

„*Pan Tadeusz*“ przechodził z rąk do rąk....
Każdy pragnął widzieć tę książkę, składającą się z kart przez wielokrotne odczytywanie zniszczonych i pozółkłych.

Każdy pragnął dotknąć jej z uszanowaniem, popatrzeć na nią chociaż zdaleka...

Nam, świeżo z kraju przybyłym, ta edycja Pana Tadeusza była już znaną.

Więc na bok usunęliśmy się dyskretnie...

Zdawało się jakoby od tej książki w skromnej, szarej okładce bił jakiś blask, niby od relikwiarza w oprawie z drogocennych kamieni.

.....

Profesor Żochowski ujął książkę...

Przycisnął ją do piersi...

Podniósł ją w górę, zaczem pochylił przed nią swoją siwą głowę...

Słoneczne promienie, łamiące się w czystym kryształach drobnych szybek, tęczową aureolą otoczyły postać czcigodnego starca i zaklęte w druk obrazy i myśli genialnego poety...

Wreszcie profesor Żochowski otworzył książkę i drżącym ze wzruszenia głosem zaczął czytać:

...Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie,
Ile cię cenić trzeba, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił...

Po tych słowach wybuchnął jęk...

Wówczas, z naszych oczów trysnęły „łzy, czyste, rzęsiste“, łzy tęsknoty za ukochaną... za tą, od nas tak daleką... daleką... daleką...

.....

I w pokoju, przed chwilą ożywionym wesołym gwarem, zaległa cisza...

Niekiedy tylko wionęło westchnienie...

Niekiedy wionął szept...

...Ojczyzno moja,
Ile cię cenić trzeba, ten tylko się dowie
Kto cię stracił...

.....

— Bogusławskij! Tokarzewskij, Żochowskij *gaspada!* *praszu sabiratsia!* czas wracać do ostrogu, proszę pokornie pośpieszyć się!

Czar prysnął...

Uroczę marzenia pierzechnęły, rozwiały się, ni by sen, z którego człowieka nagle rozbudzono brutalnie...

Z ekstazy wytrzeźwił nas ostry, szorstki głos, który usiłował być miękkim i łagodnym.

To był głos podoficera.

W progu pokoju stał w orszaku czterech żołnierzy, z nabitemi karabinami na ramionach...

To była asysta mająca nas, Polaków, skazańców, eskortować z powrotem do więzienia w semi-pałatyńskiej twierdzy.

Suto ugoszczony przez Józefa Hirszfelda i hojnie obdarowany podoficer był niezwykle uprzejmy i ugrzeczniiony.

Wywołując nazwiska nasze, nazwiska przestępców, na katorgę skazanych, raczył dodać: „*gaspada*“ i „*proszę pokornie*”.

Wybiła godzina rozstania...

Z braćmi wygnańcami, z Gruzinami z Nikitą Mikołajewiczem Tarasem, zresztą ze wszystkimi obecnymi, żegnaliśmy się mocnym, długim uściskiem.

Nieczyje usta nie śmiały wyrzec:

„Do widzenia”!

A natomiast wszystkie serca rwał ból smutnego przeczucia, że w takim gronie zespolonem z sobą serdecznie, już nie spotkamy się, nie zjedziemy tak rybło.

„*Pan Tadeusz*“ też otrzymał długie i gorące pocałunki na pożegnanie.

— Ci Polacy... doprawdy nie pojmują! Oni byle przeczytać patryotyczną książkę gotowi są wszak w każdej chwili skoczyć w ogień, lecieć na kraj świata, narazić się na więzienie, na pałki, na katorgę... Ciekawym, czyby który z nas dla przeczy-

tania... no!... Radiszczewa ¹⁾ przypuśemy, chciał narażać się na takie okropności?... Dziwny to naród ci Polacy! Bóg z nimi!—półgłosem do siebie pomrukiwał Tarasow, a do podoficera zwrócił się z komendą:

— *Paszli won!* w sieni poczekać! ja sam z tymi panami pójdę do fortecy.

Już ostatnie blaski dogasały na zachodzie, kiedyśmy po dniu tak pełnym wrażeń, tak mile w gościnnym domu Józefa Hirszfelda spędzonym, powracali do semipałatyńskiej fortecy.

Z rozkazu kapitana Tarasowa, podoficer z konwojowymi trzymali się od nas zdaleka. Sam zaś umyślnie prowadził nas przez istny labirynt uliczek najstarszych i najwęższych w Semipałatyńsku.

Ruch koncentrował się w środku miasta, nowe, centralne dzielnice były ruchliwe, ożywione, szczególnie podczas zjazdu kupców i przywozu towarów.

Zaś pośród tych domostw szarych, niskich, do wydłużonych, kamiennych prostokątów podobnych, nielicznych tylko spotykaliśmy przechodniów, kirgizów we włochatych, kolistych burnusach brunatnych, Azyatów z pogranicza Persyi, w długich płasz-

¹⁾ *Aleksander Nikołajewicz Radziszczew* pragnął zaprowadzenia w kraju reform, na wzór tych, jakie istniały w innych państwach europejskich. W tym duchu wydał dzieło p. t. *Rutieszestwie iz Peterburga w Moskwu.*

czach, z włosami i brodami na czerwono ufarbowanemi henną.

Kobiety w tem smutnem pustkowiu nie spotkaliśmy ani jednej.

Natomiast spotkaliśmy wielu „bajguszów“¹⁾ o zwiędłych, wynędzniałych, ciemnych twarzach i w dziurawych wołokowych oponczach.

Widać gnieździli się w tej dzielnicy starej, zaniedbanej, ubogiej, od centrum miasta dalekiej, a przed nocą ściągali do swoich legowisk.

Na widok żołnierzy, oficera wyższej rangi konwojujących trzech mężczyzn w aresztanckich ubiorach do „ostrogu“ za miastem, przyspieszali kroku i trwożliwie kryli się za węglami domostw, albo znikali w ich głębiach ciemnych.

Gawędząc z Tarasowem i słuchając jego objaśnień, prędko przeszliśmy dwuwiorstową przestrzeń z miasta do „ostrogu“.

Przed wejściem do fortecy jeszcze raz rzuciłem okiem na miasto i otaczający krajobraz.

„Barnaulski bór“, szeroką linią ginący na horyzoncie dalekim, ciągnął się, w lekkie, fioletowe mgły obwity.

Minarety wysoko strzelały w górę, obok pękatek kopuł bizantyjskich.

Z kruzganków meczetów muezini przeciągłym i, niby jęk, tęsknym głosem wołali:

— *Hillali! hallala! Illa hu! Alla-hu! Allah! Allah!*

¹⁾ *Bajgusz*, kirgiz żebrak.

Że to była wigilia święta starego stylu, cerkiewne dzwony wzywały ortodoksów na nabożeństwo wieczorne...

W mieście zapalono już światła po domach i w latarniach przy rządowych gmachach.

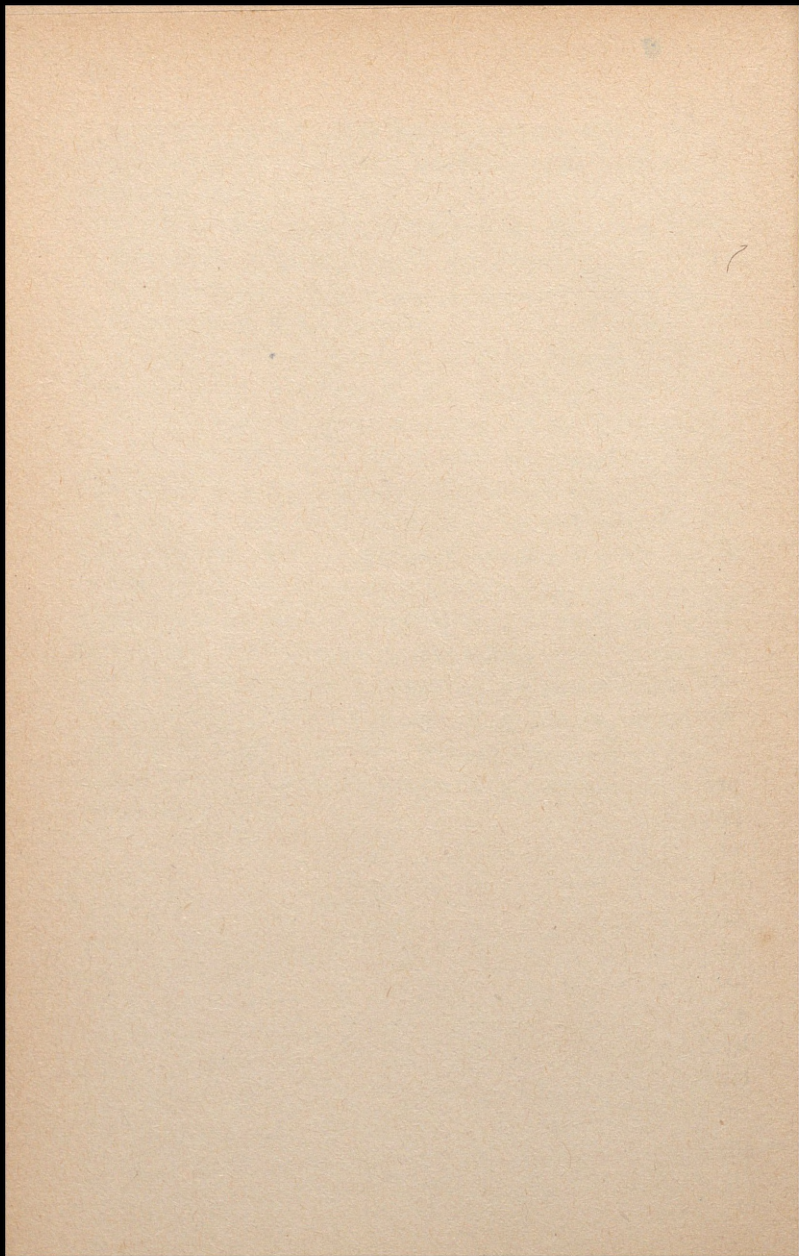
Starożytne ruiny w gloryi zachodu leżały ciche, jakgdyby w morzu krwi.

„Was Hände bauten, können Hände stürzen. Das Haus der Freiheit, hat Gott gegründet“...

— Co pan mówisz?—zapytał kapitan Tarasow.

— Co mówię? Oto: ni stąd ni zowąd, przypomniałem sobie pewien dwuwiersz z Szyllera—odrzekłem.—Trzeba wam wiedzieć, Nikito Mikołajewicz: Kamiński, profesor języka niemieckiego w Szebrzeszyńskiej szkole, gdzie się kształciłem, był szczególniejszym miłośnikiem i najgorętszym wielbicielem tego poety. My, uczniowie, musieliśmy całych długich ustępów z Szyllera uczyć się na pamięć... Raz znów, podczas letnich wakacyi, z ogromnym aplauzem widzów, po niemiecku, wyobraż pan sobie: po niemiecku, my, uczniowie, odegraliśmy cały akt z Wilhelma Tella.

U SPIĄCEJ KRÓLEWNY.



Jarmarki w Minusińsku czasu pierwszego mojego wygnania na Syberyę, stanowiły ważne, wielkiego znaczenia ewenementy.

Zazwyczaj rozpoczynane w maju, trwały przez czerwiec, lipiec, kończyły się w sierpniu, a z pewnością nie przesadzę twierdząc, że w tym paromiesięcznym okresie przez Minusińsk przewijało się wiele, wiele tysięcy ludzi.

Kto potrzebował z chińskimi, a nawet z europejskimi kupcami zawiązać stosunki handlowe, kto potrzebował porobić jakieś ważniejsze zakupy, albo też pragnął zabawić się, użyć rozrywek niedostępnych, a nawet wprost nieznanych w innych miastach Syberyi—ten podczas jarmarku dążył do Minusińska, gdzie można było z koczownikami dokonać bajecznie korzystnych tranzakcyi handlowych, a zarazem ile tylko dusza zapagnie pohulać, byleby tylko mieć hojną rękę, a przedewszystkiem byleby mieć suto wyładowaną kaletę.

Podczas jarmarków życie i użycie w Minusińsku płynęło szerokim i wartkim strumieniem.

Wielkie fortuny przez szereg lat zapobiegliwie ciułane nieraz jeden w przeciagu paru godzin topniały w szulerniach.

A jeśli taki do ostatniego szeląga, do ostatniej koszuli zgrany ex-bogacz, nie powracał o zebranych chlebie do domu, zawdzięczał to jedynie szczodroblewości swoich sąsiadów, czy krewnych, z którymi z dalekich okolic na zgubę swoją przyjechał do Minusińska podczas jarmarku.

O takich, z całego majątku wyzutych niefortunnych graczach, o takich szulrach, z bogactwami za kilku pociągnięciami kart, o różnych podstępnych umowach, chytrłości Chińczyków i Sajańców, o przeróżnych zdumiewających wydarzeniach, a zarazem o przedziwnych wspaniałościach i „czudesach“ zagranicznych, które na owe jarmarki zwożą, bez miary nasłuchałem się i w Omsku, i w wielkim Ucząstku.

To wszystko bywało bogatym tematem gawęd podczas zebrań rodzinnych i sąsiedzkich. Nie powiem, żeby te gawędy zbyt mocno zaostrzyły moją ciekawość, żeby aż zapalała gorącą żądzą uczestniczenia w tych festynach i zobaczenia tych cudów jarmarcznych, nie mniej przecież byłem rad, kiedy pewnego wieczoru mój pryncypał wpadł do mojego mieszkania, wołając:

— Jedziemy na jarmark do Minusińska! Ja i wy, Szymonie Sebastyanowiczu, zgoda? *nu's*, zgoda przecież, prawda?...

— A no — roześmiałem się — musi być zgoda, skoro już tak postanowiliście.

— A postanowiłem, postanowiłem i zaraz musimy podzielić się zajęciami. Ja przyszykuję pie-

niądze, moja żona pomyśli o jadle i napitku, czyli o zapasach na drogę, wy zaś, panie, młody człowieku, pakujcie waszą przyrodziwę. Jutro, skoro świt, hajda! w drogę. Gorliwie i uczciwie pracowaliście przez całą zimę, należy się wam wypoczynek i zabawa, panie, młody człowieku. *Nu's* i mnie także... Nie będziemy sobie żalowali kopiejek, ani rubli... zabawimy się, pohulamy... a „*czudesa*”¹⁾ zobaczycie, panie, młody człowieku!

Uradowany huknął śmiechem z całego gardła, parokrotnie uderzył się po biodrach, mnie przyjacielsko poklepał po plecach i, oblizując się a kręcąc głową, powtarzał:

— *Czudesa! czudesa!* przekonacie się, panie, młody człowieku!

Moje, a Świetyłkina pojęcia i wyobrażenia o zabawie różniły się najzupełniej i obietnica wspólnej zabawy i „pohulanki“ z nim i z jego kompanami nie nęciła mnie bynajmniej, wszelako ze względu na jego dobre chęci, a przytem, nie chcąc go obrażać, zmilczałem i wraz energicznie zająłem się przygotowaniami do podróży.

Okrag minusiński, zajmujący obszar przeszło dwóch tysięcy mil kwadratowych, stanowi jedną z najbardziej malowniczych części Syberyi.

Tedy podróż, którą zresztą przez te piękne okolice odbywałem nie po raz pierwszy, nie wyda-

¹⁾ Czudesa: cud.

wała mi się ani zbyt długą, ani też zbyt utrudzającą.

Kiedym te strony odwiedzał poprzednio, oprócz urzędników, w samem Minusińsku zamieszkałych, w tej rozległej części guberni Jenisejskiej, nie biorąc naturalnie w rachunek wojska, naogół nie wielu było Rosyan.

Trochę włościan, osiadłych i zagospodarowanych na roli, dużo politycznych zesłańców i różnych narodowości rosyjskiemu berłu podległych, sporo ex-katorżników na dożywotnie osiedlenie skazanych; reszta, czyli przeważną część ludności, stanowiły plemiona nomadów.

Raz na rok, podczas jarmarku, w Minusińsku pojawiały się liczne rzesze tych koczowników.

Z głębi dziewiczych, mrocznych puszczy, kędy trudnią się polowaniem, z nadrzecznych wybrzeży, gdzie zajmują się rybołówstwem, z kwiecistych rozłogów i pastwisk bujnych, gdzie hodują stada bydła i tabuny koni, ciągnęli Nomadzi ze swojemi żonami, z dziećmi, z całą swoją chudobą i gospodarstwem przenośnem.

Naokół miasta roztasowywali się w jurtach z kory drzew, albo ze skór zwierzęcych, skleconych naprędce.

I tworzyły się osady, będące doskonałym obrazem sposobu życia i obyczajów w prastarej, przedhistorycznej epoce.

Obraz to był dla ucywilizowanego Europejczyka oryginalny, zajmujący niezwykle. Była to prawdziwie niewyczerpana kopalnia dla etnograficznych studyów.

Mój pryncypał, Swietyłkin, jaknajsumienniej dotrzymywał postanowienia uczynionego w domu, z tą tylko różnicą, że nie kopiejki, a nawet nie ruble, lecz setki rubli szeroką ręką, a lekkim sercem rozrzucał na prawo i na lewo, ku swojej własnej uciechu i gwoli zadowoleniu swoich kompanów, których cały sztab przyplątał się doń zaraz po przyjeździe do Minusińska.

Kiedy Świetyłkin zmiarkował wreszcie, że wszelkie jego usiłowania wciągnięcia mnie w krąg jego znajomości, oraz w wir ulubionych miejscowych rozrywek i zabaw są i pozostaną wciąż bezskuteczne, dał mi zupełną swobodę rozporządzania swoją osobą i swoim czasem.

Uszczęśliwiony z tej swobody myśli, czynów, ruchów, od świtu do późnej nocy peregrynowałem wzdłuż i wszerz, z jednego końca Minusińska na drugi i w najbliższych jego okolicach.

Niesłychanie zajmowała mnie różnorodność typów, ras, obyczajów, języków i dyalektów ludzi, z którymi miałem sposobność się stykać; iście mozaikowa różnorodność i pstrocizna strojów, ubrań, zapręgów, ogrom bogactw w herbacie, w jedwabnych materyach ¹⁾, w futrach, porcelanie chińskiej i nieprzeliczonych gatunkach i rodzajach towarów.

W południowej stronie Minusińska, na błoniach, zręczni i pracowici Chińczycy na czas jarmarku

¹⁾ W epoce, o której mowa, na Syberji materye chińskie były trzy razy conajmniej tańsze, niżli perkale i inne bawełniane wyroby.

wzniesli i urządzili prowizoryczne miasteczko, wyglądające tak, jakgdyby za państwa Niebieskiego, z nad Hoang-ho, lub Yang-tse-Kiang'u prosto pod Minusińsk przeniesione było bez zmian żadnych.

Niewielkie budyneczki z dachami powyginanemi fantazyjnie stały pośród miniaturowych ogródków, pełnych złocistych dyń, tykw, jasnozielonych ogórków, sałaty o podłużnych kędzierzawych liściach, srebrzystych wielkolistnych traw i różnokolorowych, cudnie rozkwitłych maków, wciąż kołyszących się na swoich cienkich, wiotkich, wysokich łądyżkach.

Jakgdyby dla uzupełnienia egzotycznej całości opodal domków mieszkalnych, na wzgórku, była mała pagoda z porcelanowym dachem i takąż przepiękną wieżyczką.

Po za żywopłotami ogródków, raz po raz migały szafirowe, jedwabne, bogato haftowane „*kurmy*“¹⁾ skośnookich piękności, gdy jednocześnie mężowie, czy też ojcowie ich, przechadzali się po uliczkach, wyłożonych drobnymi kamiennymi płytkami.

Ubrani w długie jedwabne chałaty, w kapelusze czarne, żółtemi wstążkami pod brodą związane, albo też w lekkie, zupełnie płaskie kapelusiki z ryżowej słomki uplecione misternie, z długimi, na plecy spadającymi warkoczami, obuci w żółte albo w czerwone pantofle, z zakrzywionemi do góry nosami, kosoocy mężowie do jakiegoś celu dążyli

¹⁾ *Kurma*—suknia kobieca.

poważni, milczący, jakgdyby w poważnej zadumie pograżeni.

Po rzece, niby śmigłe jaskółki, uwijały się „*dżonki*”¹⁾, dostarczające ładunki towarów do żaglowych statków, które pływały po Jeniseju.

Środek ulicy zatłaczały objuczone osiołki, „*arby*”²⁾, które ciągneli „*dżoneriksze*”³⁾, dowożący do Minusińska towary, w sklepach i w kramach chińskich nabyte.

W tym tłoku, od czasu do czasu, lawirujący zręcznie przemykał się palankin jakiegoś chińskiego krezusa lub wykwintnej damy Chinki.

Ścisł, pisk, wrzawa różno-języczna, jakgdyby na jakimś wszechświatowym targowisku panowały w tem prowizorycznym chińskim miasteczku, od pierwszych brzasków jutrzejki porannej, a cichły wraz z zachodem słońca.

Raz zwrócił na siebie moją uwagę człowiek, w tym wrzaskliwym, kolorowym tłumie, wyróżniający się zupełnie odrębnym, zupełnie oddmiennym typem.

Wysoki był, silnie zbudowany, z długą, jak mleko bielusienką brodą.

Miał na głowie czapkę „batorówką” zwaną, z czarnymi kokardami z boku. Odziany był w kapotę z popielatego grubego sukna, krojem podobnym do samodziiałowych świtek chłopków litewskich.

1) *Dżonki*—łódki chińskie.

2) *Arby*—dwukołowe wózki, używane na Wschodzie.

3) *Dżoneriksze* — ludzie, którzy przy arbach zastępują konie i zwierzęta pociągowe.

Odrazu poznałem, że ten człowiek nie jest ani Rosyaninem, ani urodzonym tutaj Sybirakiem, ani też tem mniej przyswojonym i osiadłym koczo-wnikiem.

Więc kimże jest?

Prawdopodobnie jest jednym z politycznych zesłańców.

— Ach! nawet niezawodnie jest Polakiem— pomyślałem i postanowiłem zaraz sprawdzić o ile moje przypuszczenia są słuszne, postanowiłem zaga-dać do niego po polsku.

Łatwiej przecież było powziąć to postanowie-nie niżli je wykonać.

Właściciel batorówki i popielatej świtki bez-wiednie, odnośnie do mnie grał rolę mary nie-uchwytej... to prawie ocierał się o mnie, był tuż... tuż... to z przed moich oczów nikał, pośród roz-krzyczanej ciżby, to znów jego piękna głowa góro-wała ponad tłumem... a ja ścigałem go... wciąż ści-gałem, aż obadwaj z zatłoczonych uliczek wydsta-liśmy się na ścieżkę, wśród poletków obsianych ku-kurydzą i „czumidzą“¹⁾.

Kilka modrzewi, a w tej kępie zieloności cha-tynka drewniana—to był cel, do którego dążył wła-ściciel batorówki.

Prawdopodobnie była to jego sadyba, eo nie trudno można było odgadnąć, tak dalece chatynka i całe obejście harmonizowało z ubiorem, z rysami, z całą postacią tego człowieka.

1) *Czumidza*—proso chińskie.

Odemknął zaryglowane drzwi, popchnął je silną ręką i, pozostawiając je na ścieżaj otwarte, wszedł.

Za nim do ciemnej, małej sionki, wpadły smugi słonecznego światła...

Otworzył okienko o drobnych szybkach i wyjrzał przez nie. Urwał parę słoneczników, które przed chatynką rosły, ku słońcu obracając swoje złociste głowy, urwał kilka gałązek rzedy i nasturcyi, które z ogródka pięły się wzwyż ku ścianie, zaczem zniknął we wnętrzu izby.

Podczas, ja zbliżyłem się powoli, namyślając się, jak zagadam do tego współrodaka, którego trafem spotkałem w innej części świata o tysiące mil od Ojczyzny.

Gdym tak przystanął zadumany, nagle z chatynki buchnęła pieśń:

*„Ze skowronkami wstaliśmy do pracy
I spać pójdziemy o wieczornej zorzy
Ale w grobowcach my jeszcze tułacze,
I hufiec boży.*

*Bo kto zaufał Chrystusowi Panu
I szedł na święte kraju zawołanie,
Ten de profundis, z ciemnego kurhanu
Na trąbę wstanie”.*

Nie miałem już wątpliwości żadnej... właściciel czy tylko mieszkaniec owej drewnianej chatynki był Polakiem — był politycznym przestępcą tak, jak ja, i był również jak ja zesłańcem.

Nie było już co namyślać się dłużej, nie było potrzeby układać powitalnych dyalogów, przyspieszyłem kroku...

Wszedłem...

Ciekawe moje spojrzenia migiem obleciały izbę.

Był w niej sprzęt jaknajprostszy, drewniany, topornej roboty, zaledwie obciosany zgrubsza: łóżko, dwa stolki, dwa stoły, półeczka z trochą naczyni kuchennych—druga, z kilkoma starymi książkami.

Na jednej ścianie wisiała dubeltówka, dwa smyczki, skrzypce, snąc w domu sklecone... nad łóżkiem krucyfiks, wizerunki Ostrobramskiej i Częstochowskiej Paniienki.

Od pułapu zwieszały się większe i mniejsze pęki wonnych zasuszonych ziół.

Z każdego kąta tej izby wyzierało ubóstwo, a zarazem czystość, symetria, ład...

Jedynym zbyt kownym przedmiotem był tutaj duży, ze wspaniałej chińskiej porcelany wazon, w którym tkwiły świeżo zerwane słoneczniki, reze-da i nastureye.

Gdym wehodził, gospodarz właśnie rozpałał ogień na kominie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!— rzekłem, odkrywając głowę i zatrzymując się w progu.

Gospodarz odwrócił się żywo...

Znać odwykł od takiego pozdrowienia, albowiem drżały mu ręce trzymające jakieś gliniane garnulátko... drżał całym ciałem odpowiadając:

— Na wieki wieków, amen!

Przez chwilę spoglądaliśmy na siebie, jakgdyby badając się wzajemnie... aż, niby magnetycznym prądem pchnięci, z wyciągniętymi ramionami zbliżyliśmy się ku sobie i objęli gorącym, braterskim uściskiem...

Zaznajomiliśmy się wprędce. Może w półgodziny po mojem przybyciu, już rozmawialiśmy tak otwarcie, tak szczerze, jakgdybyśmy całe lata ze sobą przeżyli.

Gospodarz chatynki był Litwin, pochodził z okolic Mińska, nazywał się Tomasz Korsak. W r. 1812 pod Moskwą ranny, wzięty do niewoli, został jako prosty szeregowiec wcielony do wojsk rosyjskich na Kaukazie z niepodległymi góralami walczących. Za jakieś drobne przewinienie, które wynikło, że źle zrozumiał rozkaz pułkownika, Tomasz Korsak skazany został do batalionów karnych w Piotrowsku, później na dożywotnie osiedlenie w minusińskim okręgu.

Niewolno mu było mieszkać w żadnem mieście, więc się pod miastem osiedlił.

Władze nie szykanowały go, że przemieszkuje zablisko Minusińska, gdyż Tomasz Korsak, człowiek wykształcony, bywał nie raz bardzo pomocny urzędnikom różnych okręgowych dykasteryi, a zwłaszcza podczas wielkich, dorocznych jarmarków.

I Chińczykom też służył za tłumacza, przy handlowych tranzakcyach.

Tym sposobem, zarabiając na ubogie utrzymanie, resztek swego nieszczęśliwego żywota dożywał, otoczony poważaniem i sympatją ogólną.

W ciągu lat zgórą czterdziestu nie otrzymał żadnej wiadomości od swoich.

— Czy to nie masz bliskiej rodziny, albo przynajmniej dalszych krewnych, którzyby się o ciebie zatroszczyli, drogi bracie?—spytałem.

— Zaśbym nie miał! — rozśmiał się wesóło— azali nie znasz młodzieńczyku, litewskiego przysłowia, które powiada, że wokół Mińska, na wiele mil w promieniu: „co krzaczek, to Korsaczek“. Więc i dalekich krewnych mi nie brak, i najbliższa rodzina jest, a przynajmniej była przed laty. I pewien jestem, że niejedno serce krwawiło się udręką, co mnie też spotkało?.. I pewien jestem, że nieraz jeden i niejedne oczy gorzkie łzy wylewały nad moją dolą...

Cóż kiedy wprost nie było możności żadnej skomunikowania się z sobą. Żołnierzyska składali swoje misywy w kancelaryach pułkowych, skąd miały być ekspedyowane według adresów. Ale czy dochodziły?..

Pewno że nie!

Jak również nie dochodziły listy, które przyjaciele, lub krewni wysyłali do żołnierzy na Kaukaz. Skąd kto ze szlachty w Polsce, na Litwie, czy na Rusi mógłby był wiedzieć w jakiej stronie Kaukazu przebywa pułk, w którym służy jego krewny? Adresowano na chybił trafił, a z wyszukaniem adresatów pułkowe kancelarye nie robiły sobie też wielkiej subjekeyi.

Przytem, walczący z rosyjskimi wojskami niepodlegli górale, wprost polowali na furgony pocztowe. Zapewne słyszałeś o tem?

— A tak, słyszałem — a nawet w katordze w Omsku kolegowałem i przyjaźniłem się z takimi góralami.

— No, widzisz! tacy górale, schwyciwszy pocztę, chyba nie troszczyli się bynajmniej o korespondencye, które wiozła. Im szło o papiery rządowe, a jeszcze bardziej o zdobycie pieniędzy na dalszą walkę z nieprzyjacielem...

Zresztą, trzeba ci wiedzieć młodzieńcyku, żołnierze obojętnieli na wszystko, zamierały w nas wszelkie uczucia podczas tej morderczej wojny zdobywczej, podczas tych forsownych marszów przez ogromne przestrzenie pustyni niezbadanej, bez kropli wody słodkiej, pustyni pełnej bagien, wyziewów zabójczych, skorpionów, żmij, pajaków jadowitych, zjadliwych komarów. Słoneczny żar palił wojaków, niby ogień z obłoków lecący — a kiedy po dniu skwarowym zapadał krótki mrok, a wraz po nim następowała noc parna, duszna, ciemna, bezwietrzna — szakale wyły żałośnie, jakoby wróżąc nam śmierć rychłą...

Bo też naprawdę śmierć czyhała na każdym kroku... W wązkich gardzielach wąwozów, w tysiączne gzygzaki załamanych, pomiędzy dwiema niebosiężnymi górami... na drogach, które przez bezludne stopy wiły się pośród trzezin wysokich, a tak gęstych, że jeźdźcy i konie mogli się w nich skryć jaknajdoskonalej...

Zdaje się — niema nikogo w pobliżu... naokół panuje cisza... słychać tylko tupot końskich kopyt, brzęczenie owadów, ćwierkanie jakiejś małej ptaszy-

ny—aż tu zniecka, z onych trzcin przydrożnych padają gęste i liczne strzały...

Na spiekłą ziemię wałą się żołnierska...

Ich kamraci na chybił trafił strzelają w trzcinę... Wątpliwa rzecz, azali kogo trafili... napastnicy znikli... przypadli pośród burzanów, a ciała poległych żołnierzy niepogrzebione, zostały w stepie niby padlina, niby ścierwo na żer ptakom drapieżnym i szakalom rzucone... Kości poległych przez dzikie zwierzęta rozwleczone po stepach i pustyniach spalił żar słoneczny, a wichry je rozniosły po całej przestrzeni Kaukazu.

Czasem, w stepie, lub też na pustyni ukazywały nam się jakoweś postacie...

W ordynku szły, raczej górą płynęły, otoczone tumanem krwawym... Braliśmy je za zjawy, za widma poległych kamratów — widma, morderczą batalię, przegraną i śmierć na polu bitwy wróżące... W wielkiej odległości wyprzedzały wojska... aż małały... rozwiewały się... nikły...

Były to grą fal świetlnych i oparów wywołane wiraże...

Raz, nocną porą, nasze obozowisko okolił przeogromny pierścień płomieni...

Bito w bębny na alarm... zwijano „pałatki” na gwałt... pikiety raz po raz strzałami dawały znak niewidzialnemu wrogowi, że obóz czuwa, że nie pozwoli zaskoczyć się niespodziewanie, że będzie się bronił walecznie... że będzie się bronił do ostatniej kropli krwi...

Konie rżały, kwiczały, rozszalałe, rwały pęta... zaprzęgi... żołnierze wypuszczali broń z dłoni... Go-

towi byli walczyć z ludźmi, lecz nie z rozhukanym morzem pożaru, z którego uścisku nijak nie mogliśmy się wydostać...

Straszna! straszna to była noc!

Żeśmy nie powaryowali gromadnie, to chyba z powodu tej apaty, tej obojętności absolutnej, tej nieczułości kamiennej, która wszystkich ogarnęła...

Psia krew! psia krew! — mówiliśmy — ginąć, to ginąć od ognia, czy od kuli wszystko jedno!.. wszystko jedno, niechajby raz się już skończyło to marne, podłe życie! Lepsza! stokroć razy lepsza śmierć!

Okropne to były chwile, kiedy wysokie słupy pojedynczych płomieni zlewały się w jedną, przegromną plachtę, którą prąd powietrza na różne strony porywał i w poszarpanych szmatach przerzuceł w czarne otchłanie nocy...

Jeno dziw był a zarazem szczęście, że te ognie ani śwędu, ani dymu nie wydzielaly, gdyż bylibyśmy trupem popadali wszyscy, wszyscy i ludzie i zwierzęta.

Skoro po tej nocy piekielnej zaświtał poranek, okazało się, że to nie pożar był, tylko płonęły gazy, które w tej części Kaukazu „*krainą ognia*“ od wieków nazywanej, w wielu miejscach wydobywają się wprost z ziemi...

Wszak te właśnie okolice czciciele ognia Gwebrowie uważają za miejscowości święte.

Dwie doby ten pierścień płomienny okalał nasz obóz...

Trzeciej nocy dopiero chlusnęła ulewa, po której zostaliśmy pogrążeni w ciemnościach zupełnych...

Często, oj! często, górale wyprawiali nam takie iluminacje i fajerwerki. Tylko, żeśmy się z czasem do nich przyzwyczaili, aż wreszcie patrzyliśmy na nie obojętnie, całkiem bez trwogi.

A i tak się też przytrafiało: maszerujemy... Nagle daje się słyszeć skądś podziemny huk, szum, bulgotanie, jakgdyby gotującej się wody...

Zaczem pod naszymi stopami rozstępuje się grunt — i wraz ze swego wnętrza wyrzuca szlam wrzący, kłęby smrodliwych gazów, które najczęściej zapalały się płomieniem.

To były erupcje błotnych wulkanów, mających kształt stożków niedużych...

Oj! i ziemia kaukazka i kaukazcy górale ze wszystkich sił swoich i wszelkimi sposobami zacięcie bronili swej niepodległości...

Z wąwozu Palia-duta, w Dagestańskiej obłasti, wielu kulami przeszytego, uniesiono mnie prawie bez życia...

Następnie, w Zabajkalskim kraju, w Piotrowsku przebywałem lat... lat... ile?... nie pamiętam, dali-bóg! a nie chciałbym zmyślać, nie chciałbym dodać, ani ująć... Czekaj-no, młodzieńczyku, w pierwszej wolnej chwili zorientuję się i policzę.

Kiedy zamierzasz wyjechać z Minusińska?

— Nie wiem. To nie odemnie zależy. Prawdopodobnie zabawimy dłużej, ponieważ mój pryncypał Świetyłkin ma tutaj dużo handlowych interesów, a przytem, jak mi się zwierzał, doskonale się bawi.

— Doskonale się bawi. To znaczy: upija się na umór i ćwicz się w karty po całych nocach—

roześmiał się Tomasz Korsak. — W takim razie nieokreślony jest dzień i godzina waszego wyjazdu. Możecie tu pozostać do końca jarmarku, albo też za kilka godzin wybierać się z powrotem do domu, jeśli twój sławetny Świetyłkin do szczętu zgrał się w karty.

Pragnę, aby to nie nastąpiło wcale, albo przynajmniej, aby nastąpiło jaknajpóźniej, a pragnę tego ze względów czysto egoistycznych, aby jaknajdłużej cieszyć się twoją obecnością, twojem towarzystwem miły mój rodaku. Tymczasem pozwól, abym cię po staropolsku ugościł: „czem chata bogata“.

Gawędząc, spożyliśmy skromny posiłek. Zaczem obadwaj pośpieszyliśmy do miasta, gdzie Tomasz Korsak podczas jarmarku miał zajęcie w biurze naczelnika okręgu.

— Pana, panie młody człowieku, nikt nie „uwi-
dzi” w mieście. Pan tylko z Chińczykami się za-
bawia—mówił do mnie Świetyłkin—pan się w tych
czarnowarkoczych dyablach zakochał, co?.. a!

— Chińczycy, no tak! ciekawy naród, raczej
wart podziwu, niżli zakochania—odpowiedziałem —
z przyjemnością przyglądam się dziełom ich pracy,
podziwiam ich wytrwałość, bo i cóżbym zresztą ro-
bił w Minusińsku? Wy sobie sami załatwicie wszyst-
kie wasze interesa, zaś włóczyć się po mieście bez
celu, też nie zabawa żadna. Szczęściem, spotkałem
rodaka. Mieszka za miastem, o ile nie jest zajęty
przebywamy razem.

— Dość! dobrze, bardzo dostatecznie dobrze wytłumaczyliście mi, Szymonie Sebastyanowiczu, czemu was w mieście nie widują. Przypatrujecie się Chińczykom — zgoda! siedzisz w kwaterze rodaka, „sławno“. Lecz toby było „niesławno“, żebyśmy ty i ja, dwa druhy, nie zabawili się razem ani razu. Pan, panie młody człowieku, musisz ze mną dziś we francuskim „restoranie“ pohulać. Chcesz, nie chcesz! musisz!

Parokrotnie asystowałem już przy pohulankach syberyjskich bogaczów, więc aż ciarki przeszły mi po skórze na samą propozycję Świetyłkina.

Ow zaś, nie czekając mojego przyzwolenia, lub też odmowy, śmiał się uradowany i, klepiąc mnie po ramieniu, powtarzał:

— Chcesz, nie chcesz, musisz, musisz pohulać! Bo i czemużbyś nie miał chcieć?... — uderzył się w czoło — słuchajno, pan, panie młody człowieku: możeby i ten twój rodak, za miastem kwaterujący, nie wzgardził!... możeby zabrał się z nami?... napił się i przetrzącił?

— To człek sterany wojskową służbą na Kaukazie, katorgą w zawodach Piotrowskich — odrzekłem — wiekowy, nawetbym nie śmiał mu proponować, stanowczo odmówił.

— Odmówiłby?... powiadasz, to niechże pocałuje psa w nos! Tedy my obaj, pan, panie młody człowieku i ja—hajda! proszę zabierać się!

Wybuchnąłem śmiechem, gdyż temi samemi słowy: „*proszu sobiratsia*“ zwykle żandarmi w cy-

tadeli wzywali mnie do śledztwa—i w innych, tym podobnych okolicznościach, zawsze słyszałem takie zaproszenie, jakiego dziś użył Świątyłkin.

.

W ciasnym jakimś pereułku, na krańcu miasta, w płaskim, długim jak koszary, na żółto pomalowanym domu, mieściła się owa „*restauracya francuzka*” ze swoim mianem nie mająca nic a nic wspólnego, co zaraz na wstępie, od pierwszego rzutu oka można było skonstatować.

Chociaż słońce jeszcze nie zaszło, w przed-sionku, a nawet w całym lokalu już panowały ciemności, przez światło nielicznych olejnych lamp rozjaśnione słabo.

Z wyziewów alkoholicznych, z oddechów pi-jackich powstała tutaj atmosfera ciężka, dusząca.

Lampy wydzielaly czad, kopeć, tłuste sadze, które, niby miliardy drobniutkich owadów, bujały w powietrzu, pokrywając czarnym pyłem wszystko: meble, naczynia stołowe, jadło, napitki, osoby.

W kilku dużych izbach, tworzących długą am-filadę, panował ścisk.

Torując sobie łokciami drogę, a mnie, niby małego chłopczyka, za rękę wiodąc za sobą, Świątyłkin nie bez trudu dotarł do suto przekąskami zastawionego bufetu, przy którym królowała jejmo-ścianka w jaskrawych jedwabiach, w fałszywych klejnotach i w kołtuniastej fryzurze.

Wyszczerzając zdrowe, białe zęby, zalotnie strzygąc dość ładnymi oczyma, z uśmiechem, peł-

nym obietnic, zapytała Swietyłkina, co najpierw rozkaże sobie podać?

— Najpierw, *mademoiselle*, dajcie mi waszą rączkę, rączuchną do pocałowania, pokornie was proszę—z komiczną galanterią wyrzekł mój pryncypał.

„*Mademoiselle*“ poprzez ladę wyciągnęła do niego łapę potężną, którą gdy ucałował wielokrotnie, roześmiała się.

— Z waszych pocałunków wprost ogień bucha, leje się żar, *monsieur* Swietyłkin.

Zauważyłem, że owe tytuły: *mademoiselle* i *monsieur*, hojnie szafowane przez gości i przez jejmościankę, królującą za bufetem, stanowiły jedyną cechę owej francuskiej restauracyi. Poza tem nie było nic, ale to absolutnie nic, coby piękną i wytworną Francycę przypominało czemkolwiek.

Swietyłkin przedstawił mnie *mademoiselle*, co uczyniwszy, wypuścił mnie ze swojej opieki, pozostawiając własnemu losowi.

Chyba cała Syberya, od krańca do krańca, dostarczyła gości tej francuskiej restauracyi w Minusińsku.

Pośród najrozmaitszych typów mongolskich wyróżniała się nieliczna gromadka inteligentniejszych postaci, Europejczyków.

Wśród ciemnych ubrań męzkich tu i owdzie wyróżniały się oficerskie mundury i bijące w oczy jaskrawością kolorów szaty niewiast.

Ubrany w podnieszczony chałat z fioletową podszewką, w zaciszny kącik na uboczu wsunął się pop.

Jakiś człeczyna, widocznie parafianin owego popa i fundator uczył dokładał mu wciąż na talerz najsmaczniejsze kęski i raz poraz napełniał jakimś trunkiem wypróżnioną szklanicę. Czynił to z wielką rewerencyą, duchownej osobie należną, jednocześnie, z wielkiem ożywieniem opowiadając coś, czego pop słuchał nie dość uważnie, przytakiwał jednak chrząkaniem i poważnem pochyleniem głowy.

W najobszerniejszej izbie płomiennooki cygan jakąś aryę taneczną rzępolił na skrzypcach.

Akompaniowała mu na bębenku dziewczyna, w ponsowej, złocistemi szychami lamowanej spódnicy i w ponsowym mąszestrowym turbanie na kędzierzawej głowie.

Kilkanaście par przy dźwiękach tej hałaśliwej muzyki po izbie wirowało, z przytupywaniem i przyśpiewkami sprośnemi.

We wszystkich izbach mniejsze i większe stoły obsiedli ludzie, posilający się z taką żarłocznością niezwykłą, jakgdyby po wielodniowym, przy-musowym poście przybyli wprost z ogłodzonej fortecy.

Usługujący chłopcy w kaftanach i fartuchach, które przed wielu dniami zapewne były białe, raz po raz pod fartuchy chowali butelki wódki, albo wina, albo też kawały mięsa i ciasta, nieznacznie porwane ze stołu biesiadników.

Inni sługusy we framudze, za olbrzymim piecem ukrytej, wylizywali półmiski i wysączali ostatnie krople ze sprzątniętych, już opróżnionych butelek.

Człowieka, który tak, jak ja, nie przywykł do podobnej atmosfery, sam odór tych potraw tłustych i korzennych nasycił, same wyziewy alkoholu odurzały, sprawiając niesmak i ekliwość nieznośną. Przytem coraz bardziej wzmagające się hałasy, piśki, wstrętny zgielk, świszczący rechot obmierzył mi tę jadłodajnię i zarazem przybytek hulanek — pragnąłem wydostać się stąd corychlej, aby świeższem odetchnąć powietrzem.

Wyszedłem do przedsionka.

Ze zdumieniem zastałem drzwi wchodowe zamknięte i zaryglowane.

Strzegący ich pachołek, któremu grzecznie poprosił, aby mnie wypuścił na ulicę, gestem wskazał fagasa, zagłębionego w poręczowym krześle, zabarykadowanym paru stołami.

Zwróciłem się do pachołka z tą samą prośbą.

— Pokwitowanie—rzekł, wyciągając do mnie rękę.

— Jakież to pokwitowanie? — spytałem zdziwiony.

— *Nu's!* żeście zapłacili wszystko, co się od was należało w kasie.

— Ależ odemnie nic się nie należało kasie, ja tutaj nic nie jadłem, ani piłem.

— Wszyscy tak powiadają, a przecież każdy tu je i pije...

— Milcz, gburze, nie obrażaj mnie podejrzeniem o złodziejstwo i oszustwo!—krzyknąłem w pa-syi najwyższej.

Pachołek spojrział na mnie z podełba. Chciał coś rzec, otworzył usta, ale zmilczał.

Gdym tak stał przed nim, zły, bezradny, nie wiedzący co począć ze swoją osobą, mój głos podniesiony i gniewny wywabił gospodarza do przed-sionka.

— Kłaniam się bardzo pokornie, o co to idzie?— szeplenił dychawicznym głosem, a wysłuchawszy mojej skargi, rzekł:

— Przepraszam bardzo pokornie! wybaczenie, *baryń*, mój sługa was nie obraził, taki już jest oby-czaj w tym moim francuskim *restoranie*.

— To niedorzeczny i uwłaczający gościom wa-szym obyczaj.

Gospodarz uśmiechał się chytrze, mrugając o-brzękłemi powiekami i odpowiedział:

— Przepraszam bardzo pokornie, ale przecież każdy musi dbać o swoją kieszeń...

— Więc któż tu bywa u was?—krzyknąłem— jacy ludzie? złodzieje, oszuści? uwolnieni katorżni-cy?... przebrane brodiagi?

— Święty Innocenty Kulezycki, patronie cu-dotworco! *Baryń*, co wy opowiadacie?... a! proszę pokornie. Sami *czestni*¹⁾ ludzie [przychodzą tu do tego mojego francuskiego *restoranu*. *Baryń!* co wam skoczyło do głowy?!... ot! nieszczęście! — bia-dał, załamując ręce.

— Mnie tutaj wprowadził Świętyłkin — przer-wałem narzekania właściciela tej gospody.

¹⁾ *czestni*: honorowi.

— Świątylkin] z Wielkiego Uczątku?... znam, znam. A jakże! od lat wielu mój stały gość i druh dobry... Świątylkin?... a! bogaty człowiek, bogaty i *czestnyj*... Ale cóż! choćby i sam książ gubernator z Omska... taki już w moim francuskim *restoracie* obyczaj.

— Więc skądże, u dyabła, wezmę pokwitowania, skoro wam nic nie jestem winien, skoro nie mam żadnego rachunku do zapłacenia?... Powiedźcie, ile żądacie za wypuszczenie mnie z tej obrzydłej jamy, zapłacę natychmiast.

— „Obrzydła jama!“—oburzył się gospodarz— a! *baryń*, przepraszam bardzo pokornie: mój francuski *restoran* nie jest obrzydliwą jamą, co to, to już nie!... Święty Mikołaju cudotwórcu!

— Zamiast wzywać świętych patronów i cudotwórców, gadajcie, co mam uczynić, aby się od was wydostać?... chcę, potrzebuję wracać do miasta.

— *Nu's!* to i dobrze! wola wasza, *baryń*. Tylko najpierw wrócić do sali; weźcie od *mademoiselle* pokwitowanie. Oddacie je temu oto mojemu słudze—wskazał draba za stołem, siedzącego w poręczowym krześle—a skoro on obejrzy i sprawdzi, czy podpis *mademoiselle* i cyfry nie są stałszowane, ten drugi mój *czetawiek* zaraz otworzy drzwi, a!... otworzy na obie połowy i puści was—z Bogiem.

Czując się panem na swoim gruncie, szydził zjadliwie. Zapewne miało to być zemstą za ową „obrzydłą jamę“.

To rzekłszy, lekceważąco obrócił się do mnie plecami i zniknął w ciżbie, stłoczonej już za progiem przedsionka.

W tej samej chwili jakiś ekwipaż z turkotem, parskaniem koni, z ogłuszającym dzwonieniem „*kałakolczyków*“ i uprzęży, zatrzymał się przed restauracją.

Stróż odryglował drzwi i rozwarł je naościęż.

Do przedsionka wszedł nowy gość, przed którym odźwierny i *czelawiek* pochylili się w pokłonach, aż ku samej ziemi.

Był to mężczyzna o suchej twarzy, z ostremi rysami, z chorobliwie żółtą cerą i czarną, kanciasto przystrzyżoną bródką. Wysoki, ubrany dostatnio, w całej swojej postaci miał coś odpychającego, lecz zarazem w ruchach i w ubraniu miał pewną wytworność i elegancję, niezmiernie rzadko spotykaną w tych krainach, od ognisk cywilizacji oddalonych tak bardzo.

Mikołajewski płaszcz rzucił na ręce sługusa, zmierzył mnie krótkim, badawczym spojrzeniem. Zaczem obadwaj weszliśmy do restauracji.

Gwar, hałas, wrzask wzrósł już tutaj do kulminacyjnego punktu.

Skrzypiciel cygan rzępolił coraz fałszywiej.

Z którejs bokówki dolatywało drumlenie na swoistej bałabajee.

Biesiadujący coraz to nowe wznosili zdrowia:

Nasze omskie!

Nasze tulskie!

Nasze akmolińskie!

Coraz to inne głosy wywoływały nazwy guberni, okręgów, różnych miast rosyjskich i syberyjskich, na cześć których toastowano i po każdym toaście wielokrotnie wykrzykiwano: *hurra!*

— *Czetawiek! czetawiek!*—wrzeszczał jakiś tłuszcioch w fałdzistej kapocie, w aksamitnej krymce, która mu aż na brwi spadała—*czetawiek*, czemu ty zamiast wina przyniósł nam *szczy*¹⁾.

— *Izwinitie baryń*, to nie *szczy*, a najlepszy francuski *Łafil*. Proszę pokornie, my w naszym francuskim *restoranie* same najlepsze i najdroższe wina gościom naszym podajemy—ekskuzował się „*czetawiek*“, a podczas tej kontrowersyi usługującego chłopca z amfitryonem, współbiesiadnicy pomiędzy sobą rozmawiali półgłosem.

— *Dzisz!* Ilaryj Tagancew w tobolskiem więzieniu brodnią *szczy* chlipał, kajdanki na nogach miał, a teraz *dworyanina pamieszczyka*²⁾ udaje. Pieniądze fałszował. Nie dowiedli mn... Taki mądry był chłop!...

— Teraz sobolowe szuby i kołpaki nosi, łańcuchy złote na sobie zawiesza, żonę i córki w jedwabie stroi... Za córkami tysiączne posagi daje, syna z córką tego samego sędziego, co go sądził, żeni, w szacunku powszechnym żyje. W tym samym Tobolsku ludzie go patryarchą zwą, bo ma ręce szerokie i hojne. Ten mądry jest chłop! mądry!

¹⁾ *szczy*—kapuśniak.

²⁾ *Dworyanina pamieszczyka*—szlachcica obywatela.

— *Nu!* Ilaryj Tagancew, nasze tobolskie! a *osobienno* wasze zdrowie. *Szczy ili Łaft*, wszystko równo, przez gardło przeleje się do jednego miejsca, gdzie potrzeba. Co?... czy nie, a?

Współbiesiadnicy temu, kto wznosił toast, przywórzili hucznym śmiechem, wypróżniwszy kielichy do ostatniej kropli.

— Wy z nami Ilaryj Tagancew?—zapytał nowoprzybyły jegomość, mijając stół, przy którym trónował promieniejący dumą „mądry chłop“ i „patriarcha tobolski“ w jednej osobie.

— *Kanieczno!* *kanieczno!* z wami, Władimir Osipowicz—odrzekł zagadniony.

Władimir Osipowicz z rewerencyą usunął się na bok i zrobił ręką gest uprzejmy na znak, że chce naprzód przepuścić Tagancewa przed sobą.

— Tak i proszę — rzekł — Ilaryj Tagancew, proszę.

— Nie zaraz, nie zaraz! odejść nie mogę, dopóki te moje druchy nie wyjedzą i nie wypiją wszystkiego, co im zafundowałem. Wniknijcie w moje położenie, Władimir Osipowicz.

Jegomość o spieczasto przystrzyżonej bródce pochylił głowę, co zapewne miało oznaczać, „w zupełności rozumiem wasze położenie“ a nisko pokłoniwszy się „tobolskiemu patriarsze,“ wyrzekł przesłodkim głosem:

— Tedy do rychłego widzenia Ilaryj Tagancew, zwolniwszy się od obowiązków amfityryona, pośpieszajcie do złotej sali, do nas, niecierpliwie oczekujących was druhów.

Nieznany tutaj wyraz „*amfitryon*” ogromne wywarł wrażenie na słuchaczach.

Przed Włodzimierzem Osipowiczem tłum rozstępował się z uszanowaniem i względnością.

Ów zaś, niby miły, łaskawy, popularny monarcha, na wszystkie strony rozdawał skinienia głowy, zagadując do tego i owego z przyzwoiciej i zamóżniej ubranych osobników, cisnących się do niego z uniżoną czołobitnością i przypomnieniami, że kiedyś... kędyś, tam, widzieli się, zaznajomili i... razem grali w karty.

Upatrując Swietyłkina, aby za jego poradą załatwić jakoś ową sprawę „pokwitowania” zaszedłem aż do owej złotej sali.

Wisiało tutaj na ścianie kilka zwierciadeł, parę kolorowanych sztychów, pomiędzy którymi najlepiej się podobał portret Julli Pastrany, podówczas słynnej na obu półkulach świata istoty o postaci kobiecej, a twarzy brodatej małpy, w krótkim kostyumie baletniczki.

Jak w muzeach i galeryach obrazów przed arcydziełami wielkich mistrzów, tutaj, w Minusińsku przed tym wizerunkiem Julii Pastrany nigdy nie zbrakło z lubością i zachwytem podziwiających tę kobietę — małpę.

W tej izbie szumnie złotą salą nazwanej, podścianami stały wyściełane kanapy, fotele, krzesła, pokryte kwiecistą materią, a służące jako legowisko pijanym, albo też wysypiającym się gościom; środek izby zajmowały stoły zastawione talerzami,

półmiskami, kieliszkami i butlami najrozmaitszych firm i kolorów.

Tutaj zebrała się cała śmietanka minusińskiego towarzystwa: wyżsi urzędnicy różnych dykasterii okręgowych, oficerowie i kilka „wesołych dam” używających tutaj przywilejów wyjątkowych i mających powodzenie ogromne.

One to właśnie, te „wesołe damy“, prezydowały przy uczcie i rej wodziły pomiędzy wojskowymi i cywilnymi dygnitarzami minusińskimi, ostro odcinając ich dowcipy, a nie szcędząc im epitetów, które z grzecznością, uprzejmością, pieśczołliwością i dobrym tonem nie a nie nie miały wspólnego.

Głównym celem ich żartobliwych pocisków był oficer, który w zrudziałym rozpiętym mundurze, z poczerniałymi epoletami, z brodą, o klingę szabli opartą, na krześle siedział jak na koniu!

— *Nu's!* wy „*pustomiele*”¹⁾ nie wycierajcie sobie mną gęby. My przecie bydlą razem nie paśli ni razu.

— Ale z jednego koryta wy nieraz jadali razem — wtrącił młody, przystojny oficer.

— Prawdę mówi! prawdę! — śmiechem uciejszym huknęła cała męska część towarzystwa.

Natomiast „damy” wprost wpadły w furię.

— Bo jak cię tą butlą gwizdnę, praporszczyku! — krzyczała najenergiczniejsza z nich Sonia,

¹⁾ *Pustomiele*, gaduły.

swoją groźbę popierając aż nadto wymownym gestem. — *Dzisz go! Dybicz zabalkański.*

— Uspokójcie się moje mileńkie i piękne — mówił oficerek — nie mogę kajać się przed wami, bo was nie obraziłem przecie. Uspokój się czarnobrewa Soniu. Flaszczynę wódki lepiej z przyjacielem wypić, niżli ją o łeb tegoż przyjaciela rozbić, za co można się dostać do *tiurmy*¹⁾, nie mówiąc już o tem, że rozlewać wódkę — szkoda.

— Prawda twoja! Lew Leontiewicz, — przytakiwali wszyscy, tym razem jednogłośnie mężczyźni i damy.

— Tedy opróżniajcie butelki bo ich tu widzę *zapodość*²⁾ pełnych i nieodkorkowanych stoi, a ja wam będę przyśpiewywał, aż póki co...

W głębokiej framudze, na wzniesieniu, na które trzeba było po kilku stopniach wstępować, stała palisandrowa, na cienkich nóżkach wsparta, długa paka, która niegdyś, przed wielu laty, była klawikordem.

Lew Leontjewicz otworzył pakę, wygodnie rozsiadł się na krzeselku, oparł się o jego grzbiet i uderzył w poszczerbione, jak szafran żółte klawisze.

Popękane struny jęły...

Z głębi paki wydobywało się niby brzęczenie całych rojów owadów... Lew Leontiewicz kilku pasażami przebiegł całą klawiaturę... wziął kilka akor-

¹⁾ *Tiurma* — więzienie,

²⁾ *Zapodość* — zawiele.

dów, i przy jęku, oraz przy brzęczeniu zerwanych strun zaśpiewał:

*„Wyswatano mnie
Bezemnie.*

*Ożeniono mnie
Bez niej.*

*Swata szukam
Nadaremnie.*

*Nadaremnie szukam jej
Szukam jej.*

*Nie znalazłem nigdzie swata,
Nigdzie nie znalazłem jej,*

*Bo swat zginął z ręki kata,
Czort z piekła, nie puścił jej“.*

Ta pieśń była podówczas bardzo rozpowszechnioną i ulubioną na Syberyi.

Spiewywali ją wszyscy: chłopci, więźniowie i katorżnicy przy robotach; ludzie nie tylko zamożni, lecz nawet potrosze wykształceni przy zabawach swoich i uctach.

Treść wskazywała, że ta pieśń urodziła się chyba — w murach więziennych, albo w katorżniczych kazamatach.

Mimo to zawsze i wszędzie słuchano jej z przyjemnością, a przyjmowano ją aplauzem ogólnym.

— *Prelest! brelest!* Otóż to muzyka, otóż to śpiew! poprostu aż mgli... *Czudesa!* Lew Leontiewicz! wy by mogli w Petersburgu, albo w Moskwie na teatrze „*piac*“. Hurra! hurra! Lew Leontjewicz *artist*, wrzeszczało i klaskało całe towarzystwo.

A Lew Leontjewicz podniósł się z krzesła i na estradzie stał uśmiechnięty, promieniejący, okrzyki zachwytu i oklaski przyjmując jako dań jego talentowi przynależną...

Wtem ktoś zawołał:

— Władimir Osipowicz!

To imię zelektryzowało wszystkich...

Biesiadnicy pozrywali się od stołów...

Sonia, Tatiana, Olga i Natasza poskoczyły do zwierciadeł poprawiać zderanzowane toalety...

Lew Leontiewicz zeskoczył z estrady...

Wszystkie oczy zwróciły się ku drzwiom.

Władimir Osipowicz, wyprostowany, elegancki woniejący, z ironicznym uśmiechem na wargach, a miną tryumfatora, lekkim, elastycznym krokiem dobrze wymustrowanego żołnierza wkroczył do złotej sali.

Milczący i szykanowany oficer zerwał się z krzesła, zdjął czapkę, na wszystkie guziki zapiał mundur, odpasał szablę i, powiesiwszy ją na kołku, posługującemu pachołkowi zadysponował.

— *Kartoczki!* prędko! prędko!

Nastraszo mnie, że niebezpiecznie jest nocną porą samemu powracać do miasta, przeto, rad nie rad, musiałem doczekać świtu w owej „francuskiej restauracji.”

Aż do obrzydliwości napatrzyłem się już tutaj pohulance w najbardziej rozpasanych jej przejawach, najrozmaitszych.

Napiłem się herbaty i przegryzłem coś przy bufecie, nietyle z łaknienia, ile aby zdobyć owo „pokwitowanie“, mające ułatwić mi wydobyć się z przymusowego aresztu we francuskiej restauracji.

Korzystając z miejsca, chwilowo opróżnionego przy *mademoiselle* skierowałem rozmowę na owego Władimira Osipowicza, który, o ile miałem sposobność zauważyć, grał tutaj wybitną, a nawet wprost pierwszorzędną rolę.

Ze słów mojej rozmówczyni wywnioskowałem, że sławetny Władimir Osipowicz był poprostu szulerem, grasującym po Rosyi i po Syberyi.

Na wszystkich jarmarkach, zjazdach, na wszystkich uroczystych obchodach publicznych pojawiał się stale i zawsze.

Mało inteligentnym i słabo umysłowo rozwiniętym sferom Sybiraków imponował swoim rzeczywiście w tych okolicach niepospolitym wyglądem, elegancką wytwornością swego ubrania, swoich ruchów, swojej wymowy. Bogatych symplicyuszów zadziwiał opowiadaniem o wielkich obszarach ziemi, oraz o wielu setkach „dusz”, które jakoby posiadał w guberniach środkowej Rosyi, o przyja-

znych stosunkach, które łączyły go z petersburskimi i moskiewskimi dygnitarzami.

Te improwizacye brane za dobrą monetę sprawiały, że hulać, upić się, grać w karty z Włodzimierzem Osipowiczem uważano za zaszczyt nielada, za zaszczyt, o który się wszyscy ubiegali, lecz który bywał udziałem tylko wybranych, tylko uprzywilejowanych.

A chyba byłoby zbyt cieżko dodawać, że tymi wybranymi, tymi uprzywilejowanymi bywali przede wszystkim ludzie bogaci, hojni, nie liczący się z groszem i z wydatkami.

Wbrew znanemu przysłowiu i u niewiast i przy kartach szczęście stale sprzyjało Włodzimierzowi Osipowiczowi.

Że on sam Fortunie pomagał — to nie ulegało wątpliwości żadnej. Trzeba jednak wyznać: czynił to bardzo układnie, bardzo zrzęcznie.

Zresztą, któżby go na oszustwie przy kartach przyłapał?... Włodzimierz Osipowicz przybywał i do kart zasiadał dopiero wówczas, kiedy cała kompania była już akuratnie podchmieloną, a partnerzy jego pijani, aż prawie do nieprzytomności.

Mademoiselle rada ze zdobycia słuchacza, który jej w niczem nie oponował, gadała, gadała bez wycchnienia, bez przerwy, gadała tem swobodniej, że wokoło bufetu zrobiła się już kompletna pustka; nikt nie żądał ani jadła, ani napitków, goście „francuskiej restauracyi,” użyli już wszystkiego do przesyty!

Niektórzy znużeni trunkiem, wyciągnięci na ławach spali; inni, wytrwalsi, albo też na ławach miej-

seca zdobyć nie mogący, drzemali, mając głowy oparte na stołach.

Z dalszych izb dochodził tupot płasów najwytrzymalszych taneczników, oderwane strofy bezsensownych przyśpiewek i omdlewające rzępolenie skrzyпка cygana...

Tylko swoista bałabajka jeszcze bardzo głośno i zamasyście odzywała się z bokówki...

Lampy gasły, różowy świt już zaglądał przez brudne szyby...

Nagle rozległ się jakiś larum piekielny...

Jakiś ktoś naśladował szczekanie psa... Ktoś inny miauczenie kota... inny ryk wołu... pianie koguta... gdakanie kury, znoszącej jajko... Odzywały się też głosy, imitujące płacz kobiecy... kwilenie niemowlęcia... rubaszny śmiech męzki... czkawkę... chrapanie...

Ktoś gwizdał piosnkę hulaszczą...

To owa kompania, którą widziałem zabawiającą się w „złotej sali“, teraz do izby z bufetem wylewała się przy tej piekielnej wrzawie...

Byli wszyscy w komplecie, oprócz Władimira Osipowicza, który już ulotnił się niepostrzeżenie, wygrawszy, jak mi to później mówiono, sumy ogromne.

Temu hałaśliwemu pochodowi pijanych ludzi przodował „patryarcha tobolski“, eks-więzień, oskarżony o fałszerstwo banknotów, aktualny Krezus: Ilaryj Tagancew.

Olga i Sonia prowadziły go pod ramiona.

Zataczając się, wszyscy troje stanęli przed bufetem.

Mademoiselle zerwała się z miejsca, oczekując rozkazów.

— *Czelawiek!*—głosem, pijacką czkawką przerywanym, ryczał Ilaryj Tagancew — *czelawiek!* rachunek!

— Już gotowy — rzekła *mademoiselle* i, mizdrząc się, zerkając zalotnie, wyszczerzając zęby, podała Tagancewowi duży, zapisany arkusz.

Spojrzał...

Przebiegł arkusz oczyma raz... drugi i trzeci... i wykrzyknął:

— *Niewiernyj szczot*¹⁾!

— A *monsieur*, tylko to, coście rozkazywali podawać tutaj i w złotej sali, tylko to jest wciągnięte w naszą księgę i na waszym rachunku zapisane: *parole d'honneur!*

— *Wrjosz skatina*²⁾! — ryknął Ilaryj Tagancew, rzucając arkusz papieru na ladę i uderzając weń pięścią.—*Wrjosz!*

— A! *monsieur*, ja się obrażę! ja jestem już obrażoną! — wołała *mademoiselle*, zasłaniając twarz dłońmi i udając, że lka!

Nadbiegł gospodarz z interwencją.

— A! *prewoschoditelstwo!* *milenkij!* *gatubczyk!*, a! skoro uważacie, że za dużo w rachunku waszym zapisano... to ja gotów... i *mademoiselle* gotowa, wszystko, co chcecie wykreślić... wszystko,

¹⁾ *Niewiernyj szczot*—nieakuratny rachunek.

²⁾ *Wrjosz skatina*—kłamiesz bydle.

powiedźcie tylko co... raczcie powiedzieć Ilaryj Tagancew!

— Nie trzeba nic wykreślać... właśnie dopisać trzeba... *czelawiek!* podnieś z podłogi rachunek! *mademoiselle!* dopisujcie!

Ilaryj Tagancew nadał się niby indyk, panujący na gospodarczym okólniku i sylabę po sylabie skandując dobitnie i wyraźnie wyrzekł:

— Wpisujcie *mademoiselle* ile za to, co ja w wasz *rojał*¹⁾ naplwał!

Mademoiselle wypuściła pióro z ręki, gospodarz restauracyi porwał się za głowę, potem rozpaczliwie załamał ręce.

— Wy... wy, Ilaryj Tagancew w *rojał*... w mój śliczny *rojał* naplwali.

— I nie raz! — huknął śmiechem „patryarcha tobolski“.

Zawtórowała mu cała jego kompania.

— Czy to być może?—wyjęknął rzeczywiście przerażony właściciel *rojału*.—Nie wierzę.

— Wasza wola niewierzyć... Moja wola była naplwać... Idźcie, *hoziain*, zobaczyć, obejrzeć... sprawdzić.

Gospodarz z za lady wypadł niby strzała z procy i poleciał w kierunku złotej sali.

Za nim podążyła gromada mniej pijanych gości.

Powrócili niebawem.

1) *Rojał*—fortepian.

— Prawda, czysta prawda, Ilaryj Tagancew— potwierdził gospodarz.

— Ile mam zapłacić za to? — spytał „patryarcha tobolski“ — porachujecie, obliczcie, *gaspadin haziain*¹⁾, a wy, *mademoiselle*, na moim rachunku, należną odemnie sumę zapiszcie.

Gospodarz ze swoją buchalterką naradzali się na uboczu. Rozmawiali cichutko, tylko niektóre wyrazy, niektóre cyfry, notując je, wymawiali głośniej:

— W Paryżu *rojał* kosztował rubli...

— Opakowanie rubli...

— Sprowadzenie morzem...

— Morzem i lądem, *patron*...

— Wasza prawda, *mademoiselle*, morzem i lądem, rubli...

— Na komorze cło... rubli...

— Transport przez Moskwę, Niżnyj... rubli.

— Przewóz do Minusińska rubli.

Podczas kiedy *mademoiselle* i właściciel *rojału* wymieniali poszczególne pozycje kosztów, zapisując cyfry—kiedy sumowali je wreszcie, na twarzach obecnych malowało się wyteżone oczekiwanie. Tylko „patryarcha tobolski“ stał tryumfujący, wielką, spoconą łapą głaszcząc twarz Soni.

— *Prewoschoditielstwo*... Ilaryj Tagancew... *gatlubczyk*...—nieśmiało, jękając się bełkotał gospodarz— obliczyliśmy... ja i *mademoiselle*... Ona nie... ona jest bardzo mądra, ona przysięgnie... ten *rojał* kosztował mnie dużo... bardzo dużo...

¹⁾ *Gaspadin haziain*—panie gospodarzu.

— Ile?... gadajcie, *praszu, gaspadin hoziain...*

— Cztery tysiące rubli — niepewnym, cichym głosem wyjęczał gospodarz.

„Patryarcha tobolski“ roześmiał się na całe gardło.

— Tylko tyle?!

Wyciągnął z zanadrua tłuszczem i potem cuchnącą skórzaną torbę, z rozmaitych jej przegródek wyciągał banknoty, ślinił palce, ostentacyjnie kładąc na ladę banknot, po banknocie, odliczył cztery tysiące rubli, zapłacił rachunek za jadło i napitki, zaczętem zdjął z palca sygnet kosztowny, zawinął go w kilka dużej wartości banknotów, wręczył to wszystko buchalterce i, całując ją w oba policzki, wyrzekł słodziuchno:

— Za to, żem wam *naduraczył*¹⁾, mileńka *mademoiselle*.

Ona ucałowała hojną, obdarowywującą ręką i ukłoniła się nisko.

— *Merci monsieur!*—rzekła, przyciskając dar do piersi, radosnem wzruszeniem falującej—wy bojar prawdziwy, Ilaryj Tagancew. Pokornie, pokornie wam dziękuję!

„Tobolski patryarcha“ promieniał dumą i zadowolaniem ogromnem.

— Szezęście rozpiera mnie poprostu, żem z wami, družkowie mili. Czas nam wracać do mia-

¹⁾ *Naduraczył*—zwymyślał.

sta, na pokrzepienie, na *pochmielie* ¹⁾). Pokornie was zapraszam, mili drużkowie, pokornie proszę za mną.

Śmiejąc się szyderczo dodał:

— Gdyby *gaspadin haziain* był mądry i za *rojał* zażądał dwa razy tyle, byłbym zapłacił chętnie bez targu... Ale skoro zażądał tylko ceny kosztu—tedy ja, Ilaryj Tagancew, „patriarcha tobołski“ nazywany, mówię wam że: *gaspadin haziain francuskiego restoramu jest duracziszczce* ¹⁾).

Gospodarz nisko się skłonił, jakgdyby na znak aprobaty.

Temu sądowi o właścicielu restauracyi głośno przytakiwała cała kompania, asystująca Tagancewowi.

— *Duracziszczce! duracziszczce!* — powtarzali, spluwając na podłogę, tuż pod stopami nieszczęsnego właściciela „francuskiej“ restauracyi. Ów osłupiał ze zdumienia i żalu, że z własnej woli pozbawił się paru tysięcy rubli.

Kompania Tagancewa wytłoczyła się z nim do przedsionka, a stamtąd przed dom, gdzie na nich już oddawna oczekiwało kilka tarantasów, zaprzężonych w ogniste rysaki...

Wreszcie pojawił się Świetyłkin.

Z wielką moją pociechą mój pryncypał był rozbawiony, ale nie pijany. Śmiał się i rzekł:

¹⁾ *Pochmielie*, — kiedy, nie wytrzeźwiwszy się jeszcze, biesiadnicy idą na powtórą pijatykę—to nazywa się *pochmielie*

²⁾ *Duracziszczce*—głupiec.

— Słysząc, że ten nasz „patryarcha tobolski“ do dziś dnia fabrykuje pieniądze.

Gospodarz złożył ręce pobożnie.

— Boże mu dopomóż! westchnął—to bojar...

— *Silence, monsieur!*—gromkim głosem swemu patronowi przerwała ostrożnie *mademoiselle*.
Nakoniec wyszliśmy ze Świetyłkinem.

Ja nad wszelkie opisy znużony całonocnem asystowaniem pohulance w tej francuskiej restauracji.

Świtało.

Pracowici Chińczycy wstają jednocześnie ze słońcem.

To też zaraz przy wyjściu spotkaliśmy już z Minusińska powracającą arbę.

Skinąłem.

Dżoneriksze, żujący jakiś posiłek, zatrzymał się, uradowany perspektywą zarobku.

Na migi spytałem go, czy chce odwiedzić nas do miasta.

Porozumieliśmy się dość łatwo, ponieważ język rosyjski nie był mu zupełnie obcy.

— *Chao! chao! No chodia chao* ¹⁾, odrzekł z wielką uprzejmością i z miłym uśmiechem. Świetyłkin wgramolił się do arby, ja wskoczyłem za nim.

Dżoneriksze popędził prawie takim klusem, jak dobry koń.

¹⁾ *Chao*—dobrze. *No chodia chao*—bardzo dobrze.

Nigdy siedziba Tomasza Korsaka nie wydawała mi się tak malowniczo piękną, jak w tym dniu, kiedym do niego szedł po raz ostatni, kiedym w wigilię wyjazdu z Minusińska do brata wygnańca szedł z pożegnaniem.

Dach i ściany chatynki, całkowicie obwite chmielem i innymi pnączami wydawały się, niby z malachitu.

Refleksy żółto-czerwonych nasturcyi, ponsowych maków, purpurowych i białych piwonii przeistoczyły szyby okienek w cudne, różnobarwne witraże.

Duży, biały syberyjski pies o jedwabistej sierści, z ogonem jak wspaniała kita, powitał mnie radośnym szczekaniem—i w zgrabnych podskokach wyprzedził mnie do izby, niby służka, oznajmujący swemu panu gościa upragnionego.

Tomasz Korsak od stołu, na którym zastawiał posiłek, własnoręcznie ugotowany, odwrócił się, usłyszawszy szczekanie swego faworyta, a spojrzawszy bystro na mnie zawołał:

— Wyjeżdżasz! Przyszedłeś pożegnać się ze mną!

— Tak—odrzekłem z cicha, gdyż kurecz bolesny ścisnął mnie za gardło—Świętyłkin pokończył już wszystkie swoje interesa handlowe, jest też już syt zabaw tutejszych i dziś mi powiedział, że jutro wczesnym rankiem wyjeżdżamy z powrotem do Wielkiego Uczątku. Wyprosiłem sobie zupełną swobodę na dzień dzisiejszy, aby go z wami przepędzić, drogi bracie... Ale czy byliście w mieście?... czy o tem już słyszeliście od kogo, żeście teraz odgadli, po co do was przyszedłem?

— Ani byłem w mieście, ani też nikt mi o projektowanym wyjeździe Świetyłkina i twoim nie doniósł, tylko, widzisz kochany, ja w swoim życiu tyle już widziałem pożegnań, tyle rozstań bez nadziei zobaczenia się na tym świecie przebolełem sam... to też za jednym rzutem oka z twojej twarzy wyczytałem, że twoja bytność pod tym dachem ma być ostatnią.

— O! czemuż zaraz ostatnią... może tu jeszcze przyjadę za rok...

— Boże daj! abyś za rok nie przyjeżdżał już tutaj... Boże daj! abyś za rok już do Ojczyzny powrócił...

— A dla was, drogi bracie — zawołałem — dla was azaliż niema już żadnej nadziei powrotu na zagon ojczysty?

Potrząsnął głową przecząco.

— Jużciż nie!.. Stary jestem, sterany, gonię ostatkiem sił, ostatnim tchem... Darmo ludzię się nadziejami, które się ziścić nie mogą..

Zdjął z półki w czarną skórę oprawną księgę starą, przez częste użycie zniszczoną...

Przerzucił w niej kilkadziesiąt kart...

Na każdej znać było mnogie ślady łez...

Natrafiwszy na ustęp, którego szukał, przeczytał:

„Będziecie nietylko bez pana krwi swojej, ale i bez Ojczyzny i wygnancy, wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy włóczęgowie, które nogami popychać będą”.

Złożył księgę, pocałował ją i mówił:

— Wszak już nad nami spełnia się przepowiednia Złotoustego Skargi... To, co Mąż bożym duchem natchniony przepowiedział, już się stało, już nas spotkało wszystko... Więc ja i ty, mój bracie i ci wszyscy, którzy tym samym szlakiem poszli, powinniśmy uważać się za straceńców... takim jak ty, jak ja, wszystkim takim jak my obadwaj, nie przystoi *osobistego* szczęścia pożądać, ani za *osobistą* pomyślnością gonić... Nasze cierpienia, nasze tęsknoty, wszystkie nasze bóle na ofiarnym ołtarzu powinniśmy złożyć pokornie, z tą wiarą i nadzieją, że z nich odrodzenie i pomyślność dla przyszłych pokoleń wykwitną...

Osunąłem się na ziemię...

Objąłem kolana starca, przemawiającego jak gdyby w proroczym natchnieniu...

Ow na mojej głowie położył dłoń błogosławiającą...

.
.

Że to nie chcieliśmy się rozstawać w tym ostatnim dniu mojego pobytu w Minusińsku i postanowiliśmy ten dzień przepędzić razem—Tomasz Korsak towarzyszył mi w powrocie do miasta.

Szliśmy drogą, prowadzącą przez owo prowizoryczne chińskie miasteczko, gdzie co krok narzucało się mojemu wzrokowi coś, przy czem warto było przystanąć, coś, czemu warto było przypatrzeć się bliżej...

Przedewszystkiem w haftach na jedwabnych tkaninach budziły zachwyt przepych i harmonia

barw; cudny koloryt motyli, ptaków, kwiatów, roślin i drzew o fantastycznych, nieistniejących w naturze kształtach, smoków, o złocistych, koleczastych grzbietach, a kameleonowych skrzydłach.

Trzeba było również podziwiać arcydzieła cierpliwości i zręczności rąk ludzkich: to isticie koronkowe, delikatne rzeźby, ze słoniowej kości, owe długie łańcuszki z ogniów, ani razu nie spajanych, wyrobionych z jednej sztuki kości — ażurowe kule także niespajane, nie sklejane ni razu, w jednej, dużej kuli mieszczące pięć albo sześć coraz mniejszych—aż do maleńkiej kuleczki, a wszystkie wyrzeźbione w desenie jednakowe zupełnie.

W jednym sklepie pośród festonów z jedwabnej, błękitnej materyi, na złożonych deskach były porozmieszczane malowidła, na przezroczych, cieniutkich płatkach ryżowego ciasta.

Malowidła te przedstawiały pełne wdzięku rodzajowe sceny z życia mieszkańców Państwa Niebieskiego, postacie Chinek ładniutkich, poważnych mandarynów, uczonych mędrców, zadumanych bonzów, groźnych wojowników, bohaterów legend prastarych.

Twarzyczki tych figurynek miały wyraz—postacie—charakter właściwy. Każdy, najdrobniejszy szczegół ubrania, czy stroju, wszystkie akcesorya, chińscy malarze oddawali z dokładnością przedziwną, a zarówno koloryt tych kunsztownych malowidełek był wprost cudnie barwny i żywy, chociaż bez jaskrawości rażącej.

Koniecznien trzeba to widzieć, aby należycie ocenić...

Krok za krokiem, wolno postępowaliśmy wzdłuż ulicy, mającej po jednej stronie mieszkalne domki, po drugiej zaś sklepy, które dla Europejczyków były pełne dziwów i czarodziejskich osobliwości.

Wraz z nami sunął ulicą tłum wieloplemienny. Okrzyki: *thi—gha—ho!* w różnojęzyczny gwar, raz po raz rzucali chińscy chłopcy, rozwożący w taczkach słodkie ciastka: *thi, gha, ho*, które tutaj uznawano za przysmak bardzo przedni.

— Całkowicie utonąłeś, kochany, w admiracji haftów, malowideł, rzeźb ze słoniowej kości. Bezsprzecznie, są to wyroby prześliczne, świadczące o przedziwnej zręczności chińskich sztukmistrzów i o wysokiej prastarej kulturze Chin. Teraz pozwól, że pokażę ci coś, co bezwątpienia, nierównie więcej zainteresuje cię, niżli te wszystkie cacka, które oglądałeś — rzekł Tomasz Korsak i poprowadził mnie na sam koniec ulicy.

Przed budynekciem o zakrzywionym dachu, dwaj mali Chińczycy na murawie siedzieli, zapalęczywie dwiema pałeczkami waląc w okrągłe, płaskie bębenki, a kiwając główkami, przyczem ich warkoczyki cienkie i krótkie, jak mysie ogonki, chwiały się w takt uderzeń pałeczkami.

Ściany tego domku całkowicie osłaniał istny las olbrzymich, strzępiastych maków ponsowych, liliowych, różowych i białych.

Za najłżejszym podmuchem wiatru maki te sprawiały wrażenie rozkołysanych, różnobarwnych fal...

W domu tym rezydował *Kwang-si-tun* przesławny lekarz. Zarazem mieściła się tutaj podręczna jego apteka.

Jedyne w tym domku drzwi, czyli właściwie szerokie wrota, były na ścieżaj otwarte.

Przez nie widać było halę dość wąską, natomiast bardzo długą, tembardziej, że perspektywiczna jej długość była zręcznie powiększoną przez umieszczenie zwierciadła na samym końcu hali.

W tej hali znajdowała się cała menażerya wypchanych ptaków i płazów.

Olbrzymie krokodyle, o spłaszczonych cielskach, z rozdziawionymi paszczami, jaszczurki, jadowite węże z wysuniętymi żądlami, puhacze, nietoperze, orły, sępy drapieżne.

Te wszystkie twory zawieszono było wysoko jakimś sposobem niedostrzegalnym dla patrzących z dołu. I te wszystkie martwe stworzenia poruszały się, jakgdyby żywe, obracały się, koziółkowały, pancerze krokodyli i skóry węzowe błyskały metalicznym połyskiem, zapewne nadanym im sztucznie, jak sztuczne były oczy tych tworów, oczy koloru szafirów, szmaragdów, rubinów, topazów zapewne szklane, ale błyszczące, jak żywe.

Te mumie gadów i ptaków były jasno oświetlone z góry.

Opodał wrót, na żółtej, ryżowej macie, w kręgu także oświetlenia górnego, siedział człowiek stary, chudy jak szkielet, brunatną, zwiędłą skórą powleczoney. Z wystającymi kośćmi policzków, z oczyma głęboko zapadniętymi w orbitach, z długim, siwym warkoczem, miał czoło poorane głębokimi bruzda-

mi, a sarkastyczny uśmiech na bezkrwistych wargach.

Z ramion zwisała mu ciemna, jedwabna oponcza, zahaftowana w hieroglify.

Był to Chińczyk Kwang-si-tun, lekarz, używający w Minusińsku olbrzymiej wziętości.

Przed wrotami, prowadzącymi do hali, stał młody, bardzo wysoki mężczyzna, który podniesionym, niezmiernie donośnym głosem prawił niestworzone bajki o cudownych uzdrowieniach, których, jakoby, miał dokonywać Kwang-si-tun, o cudownych skutkach, wyrabianych przez niego leków i eliksirów.

Ten wywoływacz, a zarazem chwaleca Kwang-si-tun'a, te dytyramby na cześć eskulapa i jego lekarstw wygłaszał po rosyjsku i naprzemian w różnych narzeczach koczowników, którymi, trzeba przyznać, władał płynnie i biegle.

To też bezsilni starcy, schorzałe kobiety z dziećmi, wszelakie kaleki, tłoczyli się przed tym czarodziejskim przybytkiem, gdzie, wedle szumnych obietnic, za małą cenę można było zostać uzdrowionym ze wszelkich słabości, chorób, kalectw ludzkich, i nie tylko uzdrowionym, lecz nawet odmłodzonym i szczęśliwym.

Kwang-si-tun, upewniał wywoływacz, z jednego spojrzenia odgaduje chorobę, a zarazem wie, jaki lek będzie na tę chorobę skuteczny.

Nie dziw, że przy takiej zachęcie mniejsze i większe sumki łatwowierni chorzy i kaleki masami rzucali w duży, skórzany worek, który chwaleca miał zawieszony u pasa i niby o łaskę najwyższą upraszali o poradę.

Skoro tylko pacjent wszedł do hali i stanął przed obliczem Kwang-si-tun'a, ów utkwiał w nim wzrok badawczy i przypatrywał mu się bardzo długo. Zaczem ze stolika inkrustowanego perłową konchą brał maleńkie, porcelanowe fiołki napelnione płynem, albo pudełeczko z kolorowego papieru, hieroglifami pokryte i takowe wręczał pacjentowi.

To były lekarstwa do wewnętrznego użytku. Innym pacjentom na bolące części ciała Kwang-si-tun i własnoręcznie przylepiał plastry, okadzając je poprzednio wonnościami, a zarazem szepcząc nad nimi tajemnicze zaklęcia. Te wszystkie manipulacje musiały bardzo dodatnio działać na pacjentów, albowiem wszyscy, bez wyjątku, z przed oblicza Kwang-si-tun'a odchodzili, widocznie pełni otuchy, wiary i nadziei w polepszenie zdrowia i ulgę w cierpieniach.

— I ja też poproszę Kwang-si-tun'a o poradę—rzekłem do mojego towarzysza.

— Czyś chory? — zatrwożył się Tomasz Korsak — i czy podobna, abyś jakąkolwiek wiarę przywiązywał do porady tego skośnookiego szarlatana?

— Nie jestem chory, ale pragnę się zabawić, a głównie pragnę zbliżka przypatrzeć się tej figurze, bo zapewne już drugi raz w życiu nie trafi mi się sposobność widzenia podobnej, w takim otoczeniu i na takim tle.

Kiedy przerzedziły się szeregi żądnych porady pacjentów, zbliżyłem się do tłumacza i po rosyjsku spytałem go:

— Czy wielce uczony i zgrzybiały Kwang-si-tun w swojej cudownej aptece posiada jaki napój,

albo jaki proszek, moralne cierpienie uzdrawiający?

Wywoływacz, który widocznie wcale nie rozumiał znaczenia wyrazów „cierpienia moralne“ spojrział na mnie zdziwionemi oczyma.

— Powiedzcie uczonemu Kwang-si-tun'owi, że wygnaniec z krainy bardzo dalekiej i pięknej, do tej krainy dniem i nocą tęskniący, o lekarstwo na ową tęsknotę uprasza.

— Powtórzę to, co każecie, dosłownie powtórzę Kwang-si-tun'owi — rzekł tłumacz, a skoro to uczynił, chińczyk parokrotnie wyrzekł:

— *Funda! Funda!*

Bystro, długo i przyjaźnie popatrzył na mnie... wreszcie potrząsnął głową przecząco i zeicha wyrzekł parę słów, które wedle objaśnień tłumacza znaczyły, że sztuka lekarska na taką chorobę nie ma i mieć nie może ani proszków, ani ziół, ani żadnych napojów, żadnych lekarstw skutecznych.

— Więc ten skośnooki eskulap bardzo rozumnie gada, więc rozumniejszy i uczeiwszy jest, aniżeli można przypuszczać—zaśmiał się Tomasz Korsak, a ja znów zwróciłem się do tłumacza.

— A czyby wielce zgrzybiały i wielce uczony Kwang-si-tun nie mógł spełnić tego, abym chociaż we śnie, chociaż przez chwilę zobaczył tę ziemię ukochaną, do której tęsknię?

Tym razem, wysłuchawszy tłumacza, chiński lekarz uśmiechnął się i skinął głową potwierdzająco, jakoby mógł uczynić to, o co jest proszony.

Zaczem złożyliśmy zapłatę do skórzanej torby tłumacza, który zaprosił nas w głąb domu, nagłając do pośpiechu, albowiem Chińczycy swój dzień

roboczy regulują według słońca. Równy z zorzą zachodu wszelkie handlowe i inne zajęcia gasną...

Tylko w palarniach opium o zmierzchu zaczyna się ruch.

Przez ową halę, kędy w ciągu całego dnia Kwang-si-tun rzeszom pacjentów udzielał porad i leków, tłumacz wprowadził nas do sąsiedniej, znacznie mniejszej i urządzanej zupełnie inaczej.

Ściany tej hali były pokryte tablicami z laki ciemnej, koloru palisandru, ze złoconymi, wypukłymi hieroglifami.

Na niziutkich stolczkach stały tu przepyszne porcelanowe wazony, w których tkwiły wiązki zielonych gałęzi, oraz bukiety kwiatów o kształtach dziwacznych, budzących domysł, że do świeżych, naturalnych roślin wmieszano sztuczne, zrobione z delikatnych, przejrzystych tkanin.

Zwieszające się od stropu papierowe chińskie latarnie, kołysząc się lekko, to różnobarwne smugi świetliste, to głębokie cienie naprzemian rzucały w rozmaite strony hali...

Odrązu po wejściu ogarnął nas tutaj niezwykle, dziwny nastrój...

Milczeliśmy obadwaj...

Czekaliśmy długo, przy migotliwym oświetleniu i wśród panującej, niezmaconej ciszy...

Nagle skądś, z za jakiegoś parawaniku wynurzyła się jakaś postać...

Nie poznałem go odrazu, dopiero kiedy się zbliżył cichym i lekkim krokiem, spostrzegłem, że to był Kwang-si-tun...

Wyglądał teraz zupełnie inaczej...

Ubrany był w szafirowy chałat zahaftowany w wypukłe gryfy i smoki. Na głowie miał złocistą krymkę.

Wydał się jeszcze wyższy, jeszcze szczuplejszy, jeszcze poważniejszy, niżeli za dnia.

A w tych szatach złocistych, wyglądał jak mag, jak władca jakiejś Kolchidy bajecznej...

Staął naprzeciw mnie i głosem o niskich wibrujących tonach dobitnie i powoli mówił.

Tłumacz również dobitnie i wolno po rosyjsku powtarzał za nim, zwracając się do mnie:

— Myślcie, o tej krainie dalekiej, a pięknej, o tej krainie, do której tęsknicie... myślcie o niej... pragnijcie ją ujrzeć... a wkrótce... ujrzycie ją... a wkrótce będziecie tam...

Podczas tej przemowy Kwang - si-tun trzymał oczy uporeczywie utkwione w moich...

Jakaś nadzwyczajna, nie waham się rzec, jakaś wprost nadprzyrodzona siła promieniała z oczu, z całej postaci tego Azyaty i niezwyciężoną mocą przykuwała do niego...

Chciałem odwrócić się —nie mogłem...

Usiłowałem spuścić powieki—nie mogłem...

Czułem, jakgdyby jakiś gorący prąd z jego źrenic przenikał we mnie...

Czułem, że jego wola ujarzmiła moją wolę... że całą moją istotę moralną opanowywa, bierze w jasyr zupełny, absolutny, tak, jak obezwładniła mnie fizycznie...

Hala, tablice z hieroglifami, wazony, bukiety...

Tomasz Korsak... tłumacz... sam Kwang - si-

tun—usuwali się odemnie coraz dalej... coraz dalej i dalej... aż straciłem ich z oczu zupełnie.

Natomiast ujrzałem:

Kwieciste, pachnące łąki...

Pszenne niwy...

Na miedzach grusze, w bieli wiśnianych rozkwitów...

Wiśniowe sady, pełne drzewin pokrytych purpurowym owocem...

Sady, pełne złocistych i krasnych jabłek i śliw w fioletach ciemnych...

Ujrzałem moje strony rodzinne...

Ujrzałem znane mi okolice, po których wędrowałem jako wysłaniec proboszcza z Chodla...

Ujrzałem znane dwory...

Słomą pokryte chaty, gdzie mnie witano zawsze radośnie i przyjaźnie...

Słyszałem rozmowy ciemnych, prastarych lasów i poszumy wesołe gajów liściastych...

Słyszałem śpiew skowronka, klekotanie „boćka“ na wonnej, kwitnącej lipie...

Słyszałem, jak w kościele z piersi rozmodłego ludu buchnął chorał potężny:

Święty Boże!

Święty mocny, święty, a nieśmiertelny

Zmiłuj się nad nami!...

Jak obrazki w latarni czarnoksiężskiej przedemną, rozkochanym w tej krainie, przesuwały się jej piękności, o różnych porach roku, o różnych godzinach dnia...

A tak prawdziwe! tak dokładne w konturach głównych, w najdrobniejszych szczegółach kształtów, oświetlenia, kolorytu...

Zwolna te cudne krajobrazy zasnuwały cienie... cienie coraz gęstsze... coraz czarniejsze, jakgdyby nad tą moją ziemią wszelaka jasność zagasła...

Wreszcie wszystko i mnie z tem wszystkim pospołu ogarnęła czarna, nieprzejrzana noc...

.....
.....

Nagle uczuвам, jakgdyby ktoś potrząsnął mną silnie... jakgdyby jakiś ciężar spadł mi z głowy i z piersi... jakgdyby zdjęto ze mnie okowy, krępujące swobodę moich ruchów...

Oddycham głęboko...

Otoczające mnie ciemności rzędną, rozchodzą się... rozplywają, jak pierzchające przed słońcem chmury...

Odzyskuję świadomość zupełną... zupełne poczucie rzeczywistości...

Wiem już, że jestem w hali chińskiego lekarza...

Widzę, że obok, opodal mnie stoi Tomasz Korzak...

Kwang-si-tun zaś stoi naprzeciw mnie...

Wspart się ręką o jakiś sprzęt bambusowy z wysokim grzbietem... przez rozchyłony chałat widać jego suchą, brunatną pierś, falującą przyspieszonym oddechem.

Wygląda jeszcze bardziej zgrzybiały, statygowany, zgięty, bezsilny fizycznie. Ma twarz, jakgdy-

by przysypaną popiołem, oczy głęboko zapadłe w orbitach straciły blask, przenikliwość, straciły potężną moc swoją.

— I cóż? i cóż?—zapytuje Tomasz Korsak— niby słup kamienny stałeś sztywny, nieruchomy...

— Jak długo?—odpowiadam pytaniem.

— Cztery minuty.

— Żartujesz chyba, drogi bracie.

— Wcale nie żartuję. Patrzyłem wciąż na zegarek. Twoja bezwładność podczas tego eksperymentu zaczynała mnie przerażać.

— Więc cztery minuty, tylko cztery minuty trwały moje wizye przecudne!

— Jakież to były wizye?

— Wyobraźnią, czy duchem byłem tam, gdzie być pragnąłem. Widziałem to, co pragnąłem widzieć... Stało się wedle moich życzeń i wedle obietnic Kwan-si-tun'a.

— Czyli ześ...

— Czyli, że mój duch w ciągu tych czterech minut powędrował do innej części świata, że gościł w mojej Ojczyźnie.

W niskim bardzo ukłonie pochyliłem się przed Kwang-si-tun'em, kościstą jego dłoń przycisnąłem do silnie bijącego serca i z głęboką, serdeczną, rzetelną wdzięcznością wyrzekłem:

— *Taosje!* ¹⁾

Dobrotliwy uśmiech rozjaśnił pomarszczoną twarz chińskiego lekarza, czy też uczonego, czy też

¹⁾ *Taosje*, dziękuję.

czarodzieja, bo nie wiem, zaiste, który z tych tytułów Kwang-si-tun'owi przynależy?

Jego ręką, w zamian oddała mi długi, długi mocny uścisk.

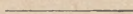
.....

Czy za sprawą jakiejś niezbadanej jeszcze siły, którą Kwang - si - tun w sobie posiadał i którą technął we mnie, mój duch wzbił się „*ad astra*“ i z niedościgłych oku ludzkiemu w zwykłym nastroju wyżyn, w ciągu owych czterech minut na ukochaną ziemię spoglądał?... czy tylko niezwykle otoczenie, łącznie z moją chęcią gorącą, wywołało ową halucynację?...

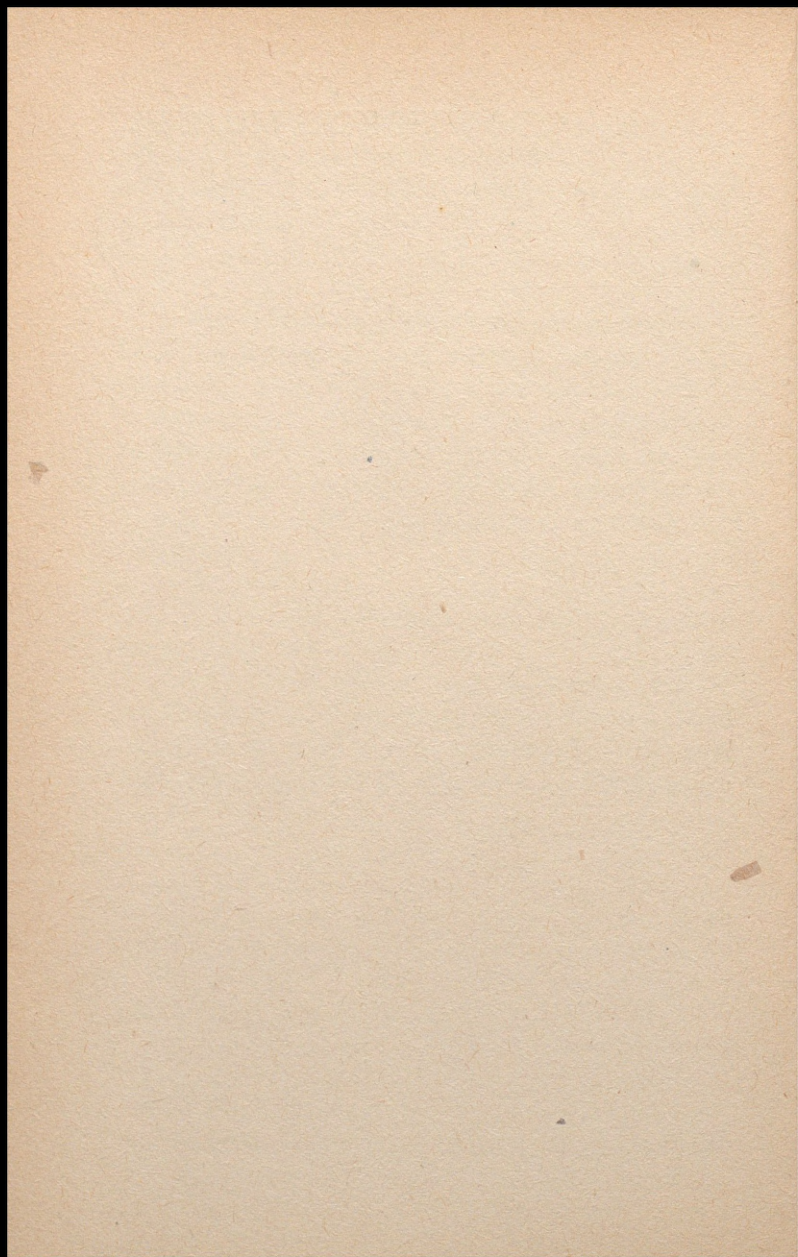
Nie wiem sam...

I naturalnie, niktby mi tego ani wytłumaczyć, ani wyjaśnić nie umiał...

Wszakże to pewne, że to moje cztero-minutowe złudzenie jakoby przebywał w domenach „*Śpiącej królowy*“ zaliczam do najmilszych chwil podczas mojego pierwszego wygnania na Syberyę...



„POWIEDZCIE MU, ŻE”...



— ..som tacy... Ja wam mówię *gaspada* jest ich mnoga, mnoga ilość!...

Tak swoje opowiadanie skończył Maksimienko. Po wyjściu z Tobolska partya, do której nas włączono, po całomiesięcznym pochodzie zatrzymała się na dłuższy odpoczynek w powiatowem mieście tobolskiej guberni, zwanem: Tara.

Bracia Polacy, osiedleńcy w Tarze: Karol Bogdaszewski, Adam Kłosowski, Konstanty Dorotkiewicz, Skiwski, Chomnicki odwiedzali nas codziennie i to parokrotnie, w ten sposób uprzyjemniając nam i osładzając przebywanie w „*w aresztanckim dworze.*”

Lecz po zamknięciu bram więzienia, wieczorami, nudziliśmy się okropnie, nie grając w karty, ani nie spijając się, czem zwykle urozmaicali sobie czas w areszcie nasi współtowarzysze „brygandy.”

Wieczorami w izbie, gdzie nas, Polaków, relegowano, pojawiał się zwykle niejaki Maksimienko.

Kim zacz był ów dziadziśko?...

Nie dopytywaliśmy się i zapewne nie dowiedzielibyśmy się prawdy, zresztą nikt nam tego nie

umiał objaśnić, albowiem najstarsi ludzie w Tarze pamiętali Maksimienkę już jako osiedleńca.

Nie pracował ów dziad, nie miał żadnych funduszków, przecież utrzymywał się bardzo dostatnio, wysługując się skazańcom z partyi, które na dłuższy lub krótszy etap zatrzymywały się w Tarze.

Głuche wieści niosły, że owe posługi Maksimienki nie zawsze były w zgodzie z kodeksem, że na przykład: puszczał w kurs fałszywą drobną monetę, którą masami fabrykują zbrodniarze w więzieniach syberyjskich.

Przecież Maksimienko zawsze potrafił „wylizać się“¹⁾ z zarzutów i oskarżeń wszelkich, a nawet podobno i wyższe, fiskalne figury nie raz jeden pośrednictwa tego dziada używały w różnych sprawach „delikatnej natury”.

W „aresztanckim domu” ów Maksimienko, z wyjątkowych przywilejów korzystał.

Wałęsał się po całym gmachu, miał wstęp wszędzie, często nocowywał w więzieniu, a do naszej izby natarczywie się wciskał, mając już doświadczenie, że od „polityków” najwięcej można zarobić i to nie ryzykując, ani narażając się na scysę jakąkolwiek z władzami. Zrazu odprawiliśmy go niechętnie i ostro.

Niezrażony zaczął nas tylokrotnie, aż prawie przebojem zdobył sobie wstęp do naszej izby i już na zdobytem stanowisku pozostał.

¹⁾ *Wylizać się* w gwarze brygandów znaczy, wywikłać się;

Syberję zachodnią całą i sporą połąć zabajkalskiej krainy znał na wylot i o tych okolicach, zupełnie nam obcych, jak również i Jakutach, Tunguzach i innych koczownikach, o ich obyczajach i wierzeniach bardzo ciekawe szczegóły opowiadał nam stylem barwnym *sui generis*, przedstawiając obrazy tajemniczych tajg i nieprzejrzaných stepów.

A te obrazy ożywiał wplątywaniem w nie swoich osobistych, często arcyzabawnych i niepowszednich przygód.

Skoro spostrzegł, że nas zdodał zainteresować swojemu naracyami, wyszczerzając w śmiechu pieńki wypróchniałych zębów, wyciągał do nas swoją futrzaną, syberyjską bermycę i rechotał:

— *Nu's*, panowie wrzucicie tu garść „*nikołajuszek*”¹⁾ i rzeknijcie, to dla ciebie na gorzałkę, na chleb i sól, i na „*postoły*” stary grzybie.

Rozumie się, że ta apostrofa do naszej hojności nigdy nie przebrzmiewała bez echa.

Maksimienko z filuternym, potrosze ironicznym uśmiechem chował w zanadrze kopiejki i o ile pora nie była zbyt późną, i o ile my mieliśmy jeszcze ochotę słuchać, znów rozpoczynał swoje opowiadania.

— „Są tacy” powiadasz dziadu, tedy ja pytam: jacy są? — rzekł Aleksander Grzegorzewski, który wracał z kancelaryi więziennej, gdzie się udawał po jakieś potrzebne nam informacje.

¹⁾ *Nikołajuszka* — kopiejka z cyfrą cesarza Mikołaja I-go.

Maksimienko, rad z interpelacyi, nie drożył się z odpowiedzią.

— Gadałem, że som ludzie „*prądownicy*“, we workach wszelakie gatunki wiatrów przechowujący. I takie wiatry, które grunta osuszają miłościwie i w słoneczne pożogi, a żary chłodzą...

I zaś takie wichury, a ze ziemi budynki, jako piórka zdmuchujom, a „*naród*“ i wszelakie zwierza zabijajom, na jeziorach i rzekach łodzie, a zaś na morzach okręty topiom. I gadałem, że som tacy ludzie, co pomory i choróbska różne po świecie rozwożom i roznoszą w mocnych torbach skórzanych... Gdzie ich wola, tam torby owe rozwiązujom i rozrzucajom zamknięte w nich zarazy i choróbska... A wtedy ludzie całemi tabunami padajom umarłe...

— Wierzysz w to, dziadu? — przerwał Aleksander Grzegorzewski.

— *Nu's*, czy ja wiem?... wierzę *ili* nie wierzę... moje stare wyblakłe ślepie niejedno widziały już na tym świecie... niejedno... Pono wierzę! — zawołał po długim namyśle.

Kiedy po naszym przybyciu do Tobolska eholera wybuchnęła w mieście, miejscowa ludność nas, Polaków posądzała, żeśmy przez nienawiść do Rosyan umyślnie przywieźli ją w naszych bagażach.

Gdyby nie ta okoliczność, że nas zamknięto w więzieniu i że oprócz urzędników i straży więziennej nikt nie miał do nas przystępu, bylibyśmy niezawodnie życiem przypłacili ten niedorzeczny przesąd ciemnego motłochu.

Opowieść Maksimienki przypomniała Grzego-

rzewskiemu te nasze niedawne utrapienia i przykrości, tedy rozgniewał się nie na żarty.

— Że też możecie, moi kochani, wysłuchiwać andronów, które nam prawi ten pijak, ten wydrwigrosz. To doprawdy wstyd dla nas, dla ludzi inteligentnych! — wołał, biegnąc po izbie.

— Przecieżś go sam zainterpelowaś, Olesiu, wstydzże się teraz więcej, niżli my. Gdyż my byliśmy tylko powolnymi słuchaczami bzdurstw dziada, gdy tymczasem ty sam wyciągnęś go na słówka, — śmieliśmy się co jeszcze w tem większą furię wprowadzało Grzegorzewskiego.

Chociaż rozmawialiśmy po polsku, sprytny Maksimienko dorozumiał się, że mówiliśmy o nim. Przeto, [nie chcąc tracić słuchaczy swoich opowiadań, a z nimi licznych „*nikołajuszek*” zaczął gawędę z innej beczki.

— Zapomniałem powiedzieć wam *gaspada*, że byłem dziś w „petersburskiej gostinnicy”... przyjechała i zamieszkała tam...

Zwolna, dobitnie cedził słówko po słówku.

Zamilkł.

Spoglądał na nas z podełba, usiłując zbadać czy dostatecznie poekscytował naszą ciekawość.

Chrząkał..

A nie doczekawszy się zapytania kto do petersburskiego hotelu przyjechał i kto tam przebywa, jednym tchem wyrecytował:

— Przyjechała jakaś „*barysznia*” ¹⁾ „po rosyj-

¹⁾ *Barysznia* — pani.

sku“ mało rozumie, „widno” z waszych, bo tak samo gada jak wy.

Rzeczywiście dziad Maksimienko był mądrym, przebiegłym człowiekiem i psychologiem dobrym.

Zdołał nas zainteresować i rozbudzić naszą ciekawość.

Grzegorzewski przerwał swoją bieganinę.

Wszyscy utkwiliśmy w dziadu zaciekawione spojrzenia. Któryś z nas zapytał.

— Maksimienko nie wie jak się nazywa ta przyjezdna pani?

Dziad potrząsnął głową.

— Nie wiem. Ale mogę się dowiedzieć, jeśli chcecie panowie „szlachta.”

— To niechże się Maksimienko dowie, prosimy i wynagrodzimy sownie. Zaraz pobiegnijcie dziadu do tej „petersburskiej gostinnicy” i zdobądźcie o tej pani wiadomości dokładne i pewne.

Dziad uśmiechnął się chytrze.

— Zaraz to ja do „petersburskiej gostinnicy” pójść nie mogę, bo nie jestem *letiaga*¹⁾, abym po ciemnej nocy latał. Jakbym stąd wyszedł jużby mnie warty psia ich mać obłupana, z powrotem nie wpuściły do „tury”¹⁾. Ale jutro skoro tylko bramę otworzą „hycnę” do miasta, wszystkiego się dowiem, do waszej „spalni” dopadnę i wam wiernie zraportuję, co i jak było i jest. Zasalutował po wojskowemu i wyszedł, nie mogąc ukryć radości, że wiadomość, której nam udzielił, tak bardzo nas zainteresowała.

¹⁾ *Letiaga* — syberyjski nietoperz biały.

Maksimienko dotrzymał słowa.

Nazajutrz, prawie ze świtem, pojawił się w naszej izbie.

Najpierw przeżegnał się bogobojnie i powitał nas życzeniami szczęśliwego dobrego dnia. Zaczem stanął na środku izby, z bermycą pod pachą. Jedną ręką wsparł się na koszturze, drugą rozczesywał swoją ogromną, zwichrzoną, białą brodę zarastającą mu całe policzki.

To mrużył, to obcierał czerwone, nabrzmiałe, zaropiałe powieki... chrząkał... odkaszliwał przygłośnie, wreszcie krzyknął:

— Wszystko w przenajlepszym porządku!

Oleś Grzegorzewski przerwał porywco:

— Maksimienko był w tym petersburskim hotelu? Maksimienko widział tę panią?

Dziad ogarnął wielką łapą brodę, ścisnął ją w garści, wreszcie sam koniuszek włożył do bezzębnej gęby, pokiwał głową i odpowiedział:

— Widziałem, a co nie ma być! widziałem tę „barysznię”... Biała jest, jako kość mamuta, policzki ma gładzusięńkie, niby zwierciadelko, a na li-czkach rumieniuszki, prosto, jak czerwone „winco ¹⁾” A brodnie jej to takie maciupięńkie, jako moje dwa palice... nie łgam! takie maciupięńkie, jak mój palec jeden.

— Mniejsza o to — przerwał któryś z nas zniecierpliwiony tą gadaniną niedorzeczną.—Dowiedzieliście się dziadu, jak się nazywa ta pani?

¹⁾ Winco — wino.

— Tego to się nie dowiedziałem—odparł Maksimienko, a po długim kołowaniu, bajaniu, musiał wreszcie się przyznać, że nie zdołał zdobyć bliższych wiadomości o tej pani, którą tylko przelotnie ujrzał, kiedy przed petersburski hotel zajeżdżała.

Właściciel hotelu, Tatar, Achmetko, jakkolwiek, wedle zapewnień dziada, bardzo z nim poprzyjaźniony i nie mający przed nim tajemnic żadnych, tymczasem odmówił wszelkich objaśnień, wszelkich szczegółów, dotyczących nieznanym podróźnej.

Służba hotelowa również o tej pani całkiem nie chciała rozmawiać.

— Dawałem tym „*lizolapom*“ połowinę srebrną, nie chcieli nawet mordy otwierać — sierdził się i uskarżał Maksimienko, tem niepowodzeniem swoich wywiadów zmartwiony wielce i skonfundowany.

— To pewno jaka księżna, *ili* kupcówna z tyśiącznym majątkiem, z domu od rodzicieli swoich uciekła, po świecie szerokim i długim losu swojego szukać, albo kochanka swego mileńskiego gonić. I przed ludźmi się ukrywa, żeby zaś rodziciele nie trafili na jej ślad.

Tak kombinował Maksimienko.

My zaś inne snuliśmy wnioski.

W owych czasach już niejedna Polka i niejedna Rosyanka ciernistym śladem za mężem skazańcem dążyła na Sybir.

Przypuszczaliśmy tedy, że owa tajemnicza podróżna jest właśnie taką idealną kobietą, taką szlachetną, dobrowolną wygnanką, która na przybycie swojego męża w Tarze oczekuje, aby dalszy po-

chód do miejsca kaźni odbywać już razem z partją, do której został włączony.

Oczywiście—mniemaliśmy—jest to dama z najlepszej sfery towarzyskiej i dlatego unika ciekawości gawiedzi i przed natrętami się ukrywa.

To bardzo rozumnie i słusznie.

Bądź co bądź postanowiliśmy się z tą damą zapoznać hezzwłocznie.

Tedy z Karolem Bogdaszewskim, który miał nam eiceronować, we czterech wybraliśmy się do owego petersburskiego hotelu.

Było to ogromne, brudne domisko, z nieodzownym „*kabakiem*“¹⁾ ze sklepem różności i kilku zabudowaniami gospodarzemi, tworzącemi czworobok, w około głównego budynku, gdzie mieściły się pokoje dla gości przyjezdnych i miejscowych, którzy przychodzili szukać zabawy albo topić troski codziennego życia w „*kabaku*“.

Tych ostatnich widać zebrała się spora gromada i to w przewybornych humorach, gdyż zdaleka już było słyhać bałabajkę, przyspiewki, tańce i gwar licznych głosów.

W stajni też było pełno tarantasów, koni, wozów, kibitek, a przez bramę domu, na rozcież otwartą, ujrzeliśmy dwóch osobliwych pilnowaczy: niedźwiedzia i wilka.

Ci dwaj czworonożni stróże każdego wpuszczali do hotelu, lecz nikt z obcych wyjść nie mógł

¹⁾ *kabak*—szynk.

tylko ci, których wyprowadzał ktoś ze służby, albo sam gospodarz.

Z osobami, które im były znane, ze stałymi bywalcami kabaku i stałymi gośćmi hotelu Misza niedźwiedź i Sasza wilk witali się, wyszczerzając kły, co miało być objawem wielkiej przychylności i wielkiego zadowolenia.

Misza wdrapywał się ciągle na wysoki słup, z którego się zsuwał ze zręcznością zawodowego gimnastyka. Tymczasem Sasza ogryzał kości, których całe sterty leżały pod ścianami i bramą hotelu.

Karol Bogdaszewski rozkazał przywołać gospodarza.

Zapytany o ową damę, która przed paru dniami przyjechała zdaleka i stanęła w petersburskim hotelu—Tatar Achmetko dawał odpowiedzi niejasne, dwuznaczne, bałamutne i wymijające.

Przyczem błyski niepokoju przelatowały po jego ciemnej płaskiej twarzy, w małych, skośnych oczkach jego zapalały się płowe ogniki, niby w ślepiach dzikiego zwierza.

To wszystko było bardzo podejrzane.

Karol Bogdaszewski powiedział, że owa podróżna jest jego krewną i rodaczką, której przybycia oczekuje od dawna, że widzieć się z nią chce i musi, że jeśli Achmetko natychmiast nie zaprowadzi nas do tej pani—udamy się do policyi.

Przyparty do muru Achmetko, wreszcie zdecydował się poprowadzić nas w głąb domostwa, mówiąc, że owa podróżna przyjechała już niezdro-

wa, że stan jej zdrowia pogarszał się ciągle i w tej chwili jest już bardzo chorą.

— Czemż nie wezwaliście lekarza? — zapytał Karol.

— Bo nie chciała „*barysznia*“, nie kazała, a czemu?.. to ja nie mogę wiedzieć — odparł Achmetko.

Ociągając się jeszcze, marudząc, biadając nad kłopotami i przykrościami, na które, jako właściciel hotelu, bywa zbyt często narażony, prowadził nas Tatar przez istny labirynt korytarzyków, zakamarków, krętych wschodków, wysokich progów, aż do boeznej przybudówki.

Tu, wyprzedziwszy nas, zatrzymał się przed drzwiczkami w drewnianej ścianie i, wskazując na nie, rzekł:

— Tutaj!

Bogdaszewski zapukał lekko...

Zapukał mocniej powtórnie i, po raz trzeci...

Żaden głos, żaden ruch, żaden szelest najbliższy nie doleciał z poza tych drzwi zamkniętych.

— Może wyszła? — zapytał Achmetki.

Ów potrząsnął głową przecząco.

— Nie! powiedziałem wam przecie, że chora jest, że nie wychodzi wcale, wcale nie podnosi się z postania.

— Tembardziej musimy ją widzieć. Niema co wahać się, ani namyślać.

— Naturalnie! idź ty, Karolu, na pierwszy ogień — rzekłem, jesteś ubrany jak cywilizowany Europejczyk, my zaś, w naszych katorżniczych kostyumach wyglądamy niby brygandy, mogłoby się to chore biedactwo przestraszyć

— Racya—przytaknęli koledzy.

Bogdaszewski uchylił drzwi ostrożnie.

Wszedł...

Przymknął je za sobą równie ostrożnie.

Zadziwiło nas, że nie słyszymy za temi drzwiami żadnego głosu...

Niebawem Karol wypadł na korytarzyk...

— Chodźcież! chodźcież! na miły Bóg — przyzywał nas skinieniem i głosem bardzo zmienionym.

W izdebce, czyli właściwie w niskiej mansardzie słabo oświetlonej okrągłym okienkiem, umieszczonem w dachu, na łóżku, zasłanem pościelą wykwinaną, spoczywała kobieta.

Była młoda.

Jej długie, jasne warkocze zwieszały się, rozplecionemi i zwichrzonemi końcami dotykając podłogi.

Poprzez lekką, jedwabną kołdrę widać było kontury wysokiej, szczupłej postaci.

Młoda kobieta widocznie była bardzo ciężko chora.

O silnej gorączce świadczyła jej rozpalona głowa, nieruchomo spoczywająca na poduszkach; jej rozplamione oczy, pałająca twarz delikatna i przecudna, jej rozpalone rączki, które na purpurowem tle atlasu, wydawały się, jak rzeźby z alabastru.

Była nieprzytomną zupełnie.

Przemawialiśmy do niej po polsku, po francusku, po rosyjsku wreszcie...

Nie odpowiadała nam ani jednym wyrazem oczywiście, nie rozumiejąc, nie zdając sobie sprawy z tego, co się w około niej dzieje.

— Ależ tu najgwałtowniej potrzebna jest pomoc lekarska—zawołał Bogdaszewski.

— Adamie—zwrócił się do Kłosowskiego—leć po doktora Murazowa. Jeśli go w domu nie zastaniesz, to w oficerskim klubie znajdziesz go niezawodnie. Złap dziada, wsadź w tarantas i dostaw go tu corychlej.

Kłosowski wybiegł, my tymczasem rozglądaliśmy się po mansardzie, usiłując odgadnąć, kim jest owa cudna istota, młodziutka, którą losy tragiczne aż do tej ziemi północnej przygnały— a traf chorą, bezradną, bezprzytomną oddał pod opiekę wygnańców, pod naszą opieką. Że należała do wyższych sfer społecznych świadczył jej wygląd, świadczyła wytworność jej prawdziwie zjawiskowej urody.

Kobieta uboga nie mogłaby też posiadać tak kwintnej bielizny, tak kosztownej pościeli, jak ta, którą miała chora.

Kiedyśmy deliberowali nad tą żywą zagadką, Oleś Grzegorzewski, który tymczasem myszkował po mansardzie, lustrując wszystkie jej kąty, nagle z niezamiecionej podłogi podjął jakiś drobny przedmiot...

Był to sukienny szkaplerz.

Na jednej stronie szkaplerza błękitnym jedwabiem były wyhaftowane wyrazy:

„Najświętsza Panno Częstochowska, prowadź moją Marysienkę po tej ciernistej drodze, którą sobie obrała“.

Tajemniczość, otaczająca chorą kobietę zaczynała się cokolwiek rozjaśniać w kwestyi najbar dziej nas interesującej: ta przecudna osoba była Pol-

ką, gdyż ten szkaplerz był jej własnością bezspornie.

Nikt z miejscowych ani czcił, ani nosił takich świętości.

Żaden rodak przez Tarę w tych czasach nie przejeżdżał, w tym hotelu się nie zatrzymywał, zamieszkali tutaj bracia Polacy byłiby przecież o tem wiedzieli.

Więc naszą sympatyę dla chorej spotęgowała jeszcze ta okoliczność, że owo biedactwo było naszą rodaczką.

Bogdaszewski zaprojektował, że wraz po wizycie lekarza przeniesie ją do innego, dogodniejszego mieszkania, niżli ta mansarda w brudnym, syberyjskim zajeździe, kędy dniem i nocą panowały hałasy i wrzaski pijackie i niechlujstwo w najwyższym stopniu, gdzie z każdej izby, z każdej sionki, z każdego zakątka wydzielają się nieznosne fetory, wprost zabójcze dla kobiety wykwintnej i do podobnej atmosfery nieprzyzwyczajonej.

Nieprędko Adam Kłowski sprowadził doktora Murazowa.

Chmurny, kwaśny jak ocet siedmiu złodziej, przyszedł Eskulap zły, że mu zabawę w oficerskim klubie przerwano.

Właśnie tego dnia wyjątkowo sprzyjało mu szczęście przy kartach i oto czort przyniósł tego Polaka z wezwaniem do chorej rodaczki. Pewno to jest żona jakiego „*miatieżnika*“, albo sama „*miatieżniczka*“, któraby mogła każdej godziny umrzeć sobie, bez niczyjej szkody—owszem: śmierć każde-

go „miatieżnika” czy też „miatieżniczek”, to przecież oczywista korzyść dla *matuszki Rossii*.

W tym sensie niezawodnie musiał rozumować sławetny Murazow, o ile wywnioskowaliśmy z jego obejścia z nami i z jego humoru.

Przecież stał się grzeczny, pogodny, uprzejmy, skoro po wzajemnej wymianie powitań Karol Bogdaszewski zaraz na wstępie wcisnął mu w łapę zwitek banknotów.

Przeliczył je bez ceremonii i, uznawszy, że ofiarowana mu sumka o wiele przewyższa zwykłą normę honoraryów lekarskich w Tarze, od razu z gburą przedzierzgnął się w człowieka uprzejmego i z całą powagą, licującą z powołaniem lekarza, zabrał się do auskultowania chorej.

Oględziny wypadły niepomyślnie.

Murazow uznał stan pacjentki, jako bardzo groźny.

Postawił dyagnozę: zapalenie płuc, połączone z zapaleniem mózgu. A te dwie ciężkie choroby przy wątłym organizmie pacjentki, nie wróżą rychłego wyzdrowienia, owszem: należało obawiać się katastrofy.

Partya, do której należeliśmy, wyruszała z Tary wcześniej, niżli było projektowane pierwotnie.

Różne prognozy, a głównie przedwczesne chłody zapowiadały rychłą i ciężką zimę. Partye przeto musiały przyspieszać pochody, aby dotrzeć jaknajprędzej do Tomsku.

Opuszczając Tarę, zostawiliśmy „naszą Marysieńkę” (bo już tak nazywaliśmy chorą panią).

w tym samym stanie zdrowia, w jakim ujrzelśmy ją poraz pierwszy.

Narodowość jej polska nie ulegała wątpliwości żadnej.

Nie odzyskiwała ani na chwilę przytomności, lecz o ile gorączkowe wizje z jej ust precydujących wyrwały czy jakieś imiona, czy też wyrazy, albo zdania bezładne,—to były imiona przeważnie w Polsce używane, to były wyrazy wyłącznie polskie.

Że za mężem albo za narzeczonym skazańcem dążyła na Sybir, to również było pewnem, bo jakież inny powód, jakież inne uczucie oprócz miłości ofiarnej mogłoby piękną i młodziutką Polkę zagnać na ów trakt ciernisty, wydeptany stopami politycznych przestępców?..

Nazwisko naszej Marysienki wciąż jednak pozostawało dla nas tajemnicą.

Od lat kilku przewożony z więzienia do więzienia, transportowany z twierdzy do twierdzy, znałem całe falangi spiskowców, jeśli nie osobiście, to przynajmniej ze słyszenia, z opowiadań współwięźniów.

Nie obce mi były nazwiska różnych konspiratorów, nie obcy ich udział w różnych związkach i sprzysiężeniach. To wszystko umiałem na pamięć, nieledwie równie dobrze, jak pacierz i katechizm.

Nieraz wykrzykiwałem: „*eureka*“, zarazem wymieniając nazwisko owego szczęśliwca, który zdobył miłość „naszej Marysienki”.

Wszakże po dłuższej rozwadze, po różnych kombinacjach i zestawieniach czasu, miejsc, osób,

cały, mozolnie wzniesiony budynek prawdopodobieństw i domysłów zwykle się walił, jako na zbyt kruchych i nikłych fundamentach oparty.

Jużciż naturalnie „nasza Marysienka” musiała posiadać paszport oraz inne urzędowe papiery, zaświadczające o jej nazwisku, o miejscowości, z której pochodzi, o tej, która była celem jej nużącej podróży.

Przecież te dokumenty zniknęły, przepadły bez śladu.

Ten i ów ze stałych bywalców „*kabaku*” i petersburskiego zajazdu przebąkiwał, że owa piękna chora pani, którą zaopiekowali się Polacy, przed kilku dniami do Tary przybyła tarantasem, wylądowanym „*czamadanami*”¹⁾ i całą masą pakunków.

Że owe kufry i pakunki zniesiono do najparadniejszej komnaty w petersburskim zajezdzie.

Piękna pani, zdaniem owych świadków, musiała być bardzo bogatą, „*jemszczyk*”²⁾, który ją przywiózł, długo i szeroko rozpowiadał o jej dobroci, hojności, o tem, że nie targowała się z nikim, płacąc za wszystko ile zażądano, chociaż, jako od obcej, żądano cen bardzo wygórowanych.

Z tych opowieści wynikał naturalny wniosek, że „nasza Marysienka” zachorowała odrazu po przyjeździe do Tary, że Achmetko nieprzytomną biedaczkę z owej „paradnej komnaty” do mansardy przeniósł, aby ją tam ukryć, i z przed ciekawych

¹⁾ *Czamadan*—kufer.

²⁾ *Jemszczyk*—stangret, pocztylion.

oczu ludzkich usunąć. Że sobie wszystkie jej bagaże przywłaszczył, paszport, oraz inne urzędowe dokumenty zniszczył, przez nieuwagę pozostawiając chorej pani pościel, świadczącą o jej zamożności.

To wszystko było pewne,

Cóż, kiedy Achmetko stanowczo wszystkiemu zaprzeczał!

Rewizya w petersburskim hotelu nie wykryła ani jednego podejrzanego strzępka, więc policya zaniechała dochodzeń osobistości tajemniczej podróźnej.

Bracia wygnańcy postanowili podjąć je na własną rękę.

W wigilię wyruszenia partyi w pochód, poszliśmy pożegnać chorą.

Nasi bracia, przebywający w Tarze, przenieśli „naszą Marysieńkę” z mansardy petersburskiego zajazdu do innego mieszkania.

Zajmowała teraz obszerny pokój, zaciszny, jasny, z rozległym widokiem na rzekę Arakuarkę i przedwieczne iglaste lasy.

Miała wygody, pomoc lekarza, nieustanną opiekę serc przyjaznych, gorących, gotowych do wszelkich dla niej poświęceń.

Z uszanowaniem ściskaliśmy wychudłe, rozpalone rączki chorej, składając na nich leciuchne pocałunki czci i pożegnania...

— Czy też spotkamy się z nią jeszcze?...— mówiłem, rozrzewniony, rozżalony i smutny.

— Czy się z nią spotkamy?—pytasz.—O, mój kochany, spotkamy się niezawodnie... jeśli nie na tej ziemi, to po tamtej stronie grobu... Jednemi,

wszak chadzaliśmy drogami — odpowiedział profesor Zochowski.

— Faktycznie, nasza praca jest pracą Danaid! Kilka dni deszczów ten wał mozolnie naszymi rękami zbudowany zepsuje. Pierwsza większa ulewa rozniesie go zupełnie. I znów będziemy musieli zwozić taczkami nawóz, dygować żwir, piasek, trzcinę, będziemy musieli układać to wszystko, ubijać, aby, skończywszy, wkrótce znów rozpoczynać to samo... Doprawdy, trudnoby wymyśleć bardziej ogłupiającą robotę!

Tak wyrzekął Józef Bogusławski, ciskając na ziemię łopatę, którą trzymał w ręce, a ja odpowiedziałem ze śmiechem:

— Czy wyobraziłeś sobie Józiku, że nas do katorgi zesłano, w celu rozwinięcia naszych umysłów i wdrożenia nas do pracy użytecznej i produkcyjnej?... Chyba musimy przyzwyczaić się do robót „ogłupiających”, bo przypuszczam, że do innych nie znajdziemy w katordze odpowiedniego pola...

Józef Bogusławski i ja rozmawialiśmy w ten sposób w Ust'kamenogorsku ¹⁾.

Cokolwiek prędzej, niżli inni więźniowie ukończyliśmy wyznaczoną nam „porcję roboty” i, oczekując, aż współtowarzysze swoje wydziały ukończą, odpoczywając, spoglądaliśmy to na pogodny firmament, to na Irtysz, spokojny w tej chwili, gładki

¹⁾ Patrz: Siedem lat katorgi.

jak wypolerowaną taflą szkła, w którym odbijał się to szafir niebios, to białe przelotne obłoczki.

Nadszedł oficer, noszący tytuł inżyniera, obejrzał wał, który katorżnicy usypali nad Irtyszem. Tu i owdzie zganił niedbałą robotę i zapewne dla nadania sobie należytej powagi, zwymyślał katorżników, zwymyślał dozorców i konwojowych, zaczem nakazał powrót do kazamat.

W drodze spotkaliśmy gefrejtera z rozkazem, abym się stawił w kancelaryi komendanta twierdzy.

Komendant, major Macenko, Małorus, był wcale nie złym człowiekiem, szczególnie dla nas, Polaków, był uczynny, względny i wcale się nie krył z sympatją, jaką w swoim sercu żywił dla Polski.

— Rad jestem, że mogę wam zrobić przyjemność, Szymonie Sebastyanowiczu — rzekł gdy mnie do jego kancelaryi wprowadzono i doręczył mi list, który poczta przywiozła właśnie.

Spojrzałem na stempel pocztowy...

List pochodził z Tary.

Podróżował zaś parę miesięcy...

W latach czterdziestych rzadko kiedy, my, polityczni przestępcy, dostawaliśmy się wprost do miejsca kaźni.

Przyłączono nas to do tej, to do owej partii brygandów. Odbywaliśmy długie pochody w głąb Syberyi, aby znów tą samą drogą cofnąć się wstecz ku Uralowi, ku Rosyi.

Były to marsze pośpieszne i pośpieszne rejterady.

Były to dłuższe lub krótsze etapy, względnie do widzimisię, lub do wyrachowań naczelnych władz, w ważniejszych syberyjskich miastach.

Więc i listy też długie odbywały wędrówki, w poszukiwaniu adresatów.

Otrzymałszy list z rąk komendanta Macenki, rozpieczętowałem takowy skwapliwie.

Byłem pewien, że ta, od paru miesięcy z upragnieniem oczekiwana misywa, zawiera wiadomości, o „naszej Marysience”.

I nie zawiodło mnie przeczucie.

Karol Bogdaszewski, nie szczędząc szczegółów, donosił nam o tej kobiecie, którą poznaliśmy w Tarsze, dla której tak wielką, tak serdeczną powzięliśmy sympatyę.

Lekarz Murazow dobrą postawił dyagnozę.

„Nasza Marysienka” powoli... powoli... więdła, niby kwiat, mrozem zwarzony...

Zgasła, niby gwiazda, którą gromowe chmury przyémiewają... aż zasłonią tak, że z przed wpatrzonych w nią oczu ludzkich znika nazawsze...

Nasza Marysienka była wciąż nieprzytomna. Dopiero na chwilę przed zgonem pojawił się u biedaczki leciuchny błysk świadomości...

Błagalnym gestem wychudłe rączyny wyciągnęła do braci wygnańców, którzy w ostatnich dniach jej życia czuwali nad nią bezustannie i z wielkim wysiłkiem wyszeptwała:

— Powiedzcie mu, że...

Więcej nic...

Nic nadto... ani jednego wyrazu... ani jednej sylaby...

Żaden z nas nigdy nie mógł spełnić przedśmiertnej woli „naszej Marysieńki”.

Żaden z nas nie zdołał nigdy dowiedzieć się co i komu kazała powiedzieć.

K O N I E C .

WYCIĄG Z KATALOGU

„BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH”.

Do nabycia w Administracji „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH” (Warszawa, Sienna Nr. 2) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Tom.		CENA	
		w opr. brosz.	
		kop.	kop.
645.	Eliza Orzeszkowa. ASCETKA. Powieść	55	40
646, 647, 648.	E. T. A. Hoffmann. DYABLE ELI-KSYRY. Przełożył Ludwik Eminowicz	165	120
649.	Aleksander Bolesław Brzostowski. CI, KTÓRYCH ZNAŁEM. Garść luźnych wspomnień, opisów i wrażeń	55	40
650	Józef Miłkowski. Ze wspomnień legionisty. WYPRAWA DAHOMEJSKA	55	40
651, 652, 653, 655, 656.	ŻYWOT BENVENUTA CELLINI'EGO. Własnoręcznie spisany we Florencyi. Z oryginału przełożył i przypisami opatrzył Stanisław Machniewicz	275	200
654.	Domańska. BLASKI. Powieść	55	40
657.	Ory Jelska. PANTA REI. Powieść	55	40
658.	Dr. K. Rakowski. TRZY LATA W WIEZIE-NIU PRUSKIEM.	55	40
659, 660, 661.	Paul Adam. CZARNY WĄŻ. Po- wieść	1.65	1.20
662.	M. Bölsche. ZWYGIĘZKI POCHÓD ŻYGIA	55	40
663, 665, 667.	M. Rakowska. ZARYS LITERA- TURY ANGIELSKIEJ	1,65	1,20
664.	A. Wierbickaja. MOTYLE. Przekład z ro- syjskiego	55	40
668, 669.	Szalom Asz. MIASTEGZKO	1.12	80
670.	Karin Michaelis. BEATA ROSA. Powieść. Tłomaczyła E. R-a	55	49
671, 672.	Marya Rodziewiczówna. MAGNAT	1.10	55
673.	Szymon Tokarzewski. POŚRÓD CYWILNIE UMARLYCH. Obrazki z życia Polaków na Syberyi	55	40

HEMATOGEN KARPIŃSKIEGO

Środek pobudzający apetyt, wzmacniający siły i system nerwowy. Zamiast sztucznych przetworów żelaza, tranu, ekstraktów słodowych itp.

ZNAKOMITY ŚRODEK: w angielskiej chorobie, ogólnem osłabieniu, bezkrwistości, przy osłabieniu serca i nerwów, żołądch i u rekonwalescentów po zapaleniu płuc, influenzy i t. p.

Hematogen Karpińskiego jest wybornym środkiem dyetetycznym odżywczym.

Hematogen Karpińskiego jest doskonale znoszony przez najsłabsze żołądki dzieci i starców.

Hematogen Karpińskiego odznacza się przyjemnym smakiem.

SPOSÓB UŻYCIA: dla dorosłych 1 — 2 łyżek stółowych na pół godziny przed jedzeniem
dla dzieci starszych 1 — 2 łyżek deserowych,
dla dzieci ssących 1—2 łyż. od herbaty z mlekiem.

Flakon Hematogenu Karpińskiego koszt. rb. 1.

Tow. Akc.

„Fr. Karpiński w Warszawie”

ul. Elekforalna 35, Telefon 600.

6. od Nowego Roku 8. znaczące obniżenie przedpłaty

Współwłaściciele „SŁOWA”, pragnąc zapewnić pismu jaknajszersze rozpowszechnienie postanowili znacznie obniżyć przedpłatę „SŁOWA”, poczynając od Nowego Roku, podnosząc jednocześnie wartość pisma.

w Warszawie	zamiast 9	odtąd 6	rb. rocznie
Z przes. poczt.	„ 12	„ 8	„ „
Zagranicą	„ 16	„ 12	„ „

Kwartalnie 1 rb. 50 k., 2 rb., 3 rb.

„SŁOWO”

Dziennik polityczny, społeczny, ekonomiczny, literacki i artystyczny.

PRZY UDZIALE PIERWSZORZĘDNYCH PISARZY POLSKICH.

Codziennie 6 do 8 stron większego formatu.



Artykuły wstępne. Korespondencje z kraju z za kordonu i z głównych ognisk świata. Wywiady. Artykuły bieżące. Feljetyony. Informacje. Powieści. Nowele.



Ilustracje związane z chwilą bieżącą.



Adres Redakcji i Administracji:

Warszawa, Ś-to Krzyska № 34.

Telefony Nr. Nr. 153, 656 i 91-03.

Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich!
SŁYNNA W CAŁYM ŚWIECIE

HERBATA Z GÓR HARCU

(Dr Lauer's Harzer Gebirgstee). Zalecana przez najsłynniejsze powagi lekarskie zatwierdzona przez Departament Medyczny przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych w Petersburgu, jest jednym z najniezbędniejszych środków do utrzymania zdrowia. Napój ten przyjmowany w ilości 2—3-ch filiżanek tygodniowo, leczy wyrzuty liszaje, uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, atretyzm cierpienia żołądka i t. p. przywraca apetyt, prawidłowe trawienie. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, influenzy choleryny
Cena pudełka Rub. 1, pół pudełka 50 kop.

UWAGA. Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą etykietą: Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

JÓZEF GROSSMAN

Warszawa, Ślińska 33a, Kantor i skład w podwórzu. Tel. 184-44.
Zamiejscowym wysyłam za zaliczeniem od 1 rubla z doliczeniem kosztów przesyłki podług taksy pocztowej. Wstrzegać się fałszyfikatów.

AGATOL

proszek, eliksir i pasta o silnym aromacie

DO CZYSZCZENIA ZĘBÓW

poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO Leszno 12.

„Rolnictwo, Hodowla i Przemysł Wiejski” TYGODNIK ROLNICZY

o kierunku praktycznym, poświęcony wszystkim działom pracy rolnej i uwzględniający zarówno stosunki Królestwa, jak Litwy i Rusi.

Adres Redakcji w Warszawie, Kopernika N-r 18.

Prenumerata roczna rb. 6, półroczną rb. 3.

Roczniki z lat ubiegłych ustępują się po rb. 5 za rocznik wraz z przesyłką.

30. —
1932/06/25



142231

11